

Bez Debitu

kwartalnik — nieregularny

W NUMERZE:

STANOWISKA

Zmienił system, z Aleksandrem Paszyńskim rozmawia	
Redakcja "Bez Debitu"	1
Oświadczenie Tymczasowego Zarządu Warszawskiego	
Towarzystwa Gospodarczego	9
Michał Kozłowski, Dwie reformy	11
Ireneusz Krzemiński, Sika przede wszystkim	18
Jacek Zamorski, Życie w zakamarkach	26

REPORTAŻE

Mała Rawka, Wytrwać jak najdłużej	31
---	----

DOKUMENTY

Skazani na śmierć, Białostoczczyzna 1944-46	36
---	----

ROZMOWY

Ja nie jestem ONI, cz.3	50
-------------------------------	----

FOLKLOR POLITYCZNY

KES, Anatomia spisku	58
Z całą powagą	62

POWTÓRKA Z HISTORII

Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce	64
PAC, Człowiek wart bez	72

OPOWIADANIE

Adam Dolistowski, Wstęp do historii świata, cz.4	74
--	----

OP. CIT., OP. CIT.,

Jan Lityński, Szanse na wyjście z petu	79
--	----

- NUMER ZŁOŻONO W CZERWCU 1988 R.

Białystok

Wydawnictwo	W
Północno -	P -
Wschodnie	W

Stwierdzenia

ZMIENIĆ SYSTEM

z Aleksandrem Paszyńskim

rozmawia Redakcja "Bez Debitu"

Rozmowę przeprowadzono w kwietniu 1988r., po złożeniu do rejestracji nowej propozycji statutu Polskiego Towarzystwa Gospodarczego. Spośród wysuwanych przez stronę rządową licznych sugestii dotyczących zmian statutu Towarzystwa, w przedstawionym projekcie uwzględniono tylko dwie: zmianę nazwy z Polskiego Towarzystwa Gospodarczego na Warszawskie Towarzystwo Gospodarcze oraz zmianę struktury organizacyjnej Towarzystwa, które zamiast z terenowych Oddziałów i Kół składać by się miało z Zespołów i luźniejszych jednostek organizacyjnych poświęconych różnym rodzajom działalności merytorycznej, mieszczących się w poszczególnych miastach i regionach.

Red.: Widzę, że mimo przeszkód jest Pan jednak przekonany, że Towarzystwo Gospodarcze doczeka się w końcu rejestracji.

Aleksander Paszyński: Mam nadzieję, chociaż nie jestem pewien.

A więc mam nadzieję, że władze są w równie trudnej sytuacji jak my, to znaczy nie mogą odmówić rejestracji Towarzystwa. A wiedząc, głośno to powiadamy, że jeżeli nie uda się uzyskać rejestracji Towarzystwa w ciągu najbliższego miesiąca, to po prostu publicznie powiemy, że nie można się z tą władzą dogadać - porozumieć. A myślę, że nie byłoby na ręce władzy wobec zewnętrznych ośrodków opinii publicznej takie przyznanie się do negatywnego stosunku do inicjatywy tak ważnej, czy tak oczywistej z punktu widzenia reformatorskiego. Wobec tego liczę, że mimo wszystko, mimo różnych oporów czy zastrzeżeń, jakie władza ma wobec Towarzystwa jednak łatwiejszym dla niej do przeżycia będzie jego powstanie w nieco okrojonej skali niż dokonanie odmowy

wy. Ale to rozstrzygną najbliższe tygodnie.

Red.: Wszyscy wiemy, że reforma jest konieczna, ale również, że dotychczasowe działania w tej mierze nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Niekorzystnie wypadła również ocena rządowych założeń do II etapu reformy dokonana przez Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe i opublikowana na łamach "Kadu".

Jednocześnie Towarzystwo to zamieściło tam swoje postulaty reform i zmian, zbliżone do tego, co głoszą dziś liberalne partie zachodnie. Tak więc postulują między innymi reprivatyzację wszystkiego co się da, akcyjność dużych przedsiębiorstw państwowych i zmniejszenie podatku dochodowego. Zatem propozycje te w zasadzie podważają podstawowe principa naszego obecnego systemu. Czy to jest w ogóle możliwe?

A.P.: Nie, myślę, że nie jest możliwe i myślę, że dylemat władzy polega przede wszystkim na tym, że ona z jednej strony mając świadomość - bo tego się nie da ukryć, to widać gołym okiem - niesprawności tej gospodarki, nie potrafi zaproponować rozwiązań, które by w sposób skuteczny spowodowały usprawnienie tego systemu. Jest to niemożliwe po prostu dlatego, że ta władza nie potrafi wyobrazić sobie zachowania swoich atrybutów włączy w warunkach wolnej gospodarki. Ona nie decyduje się na wypuszczenie z rąk tego, co jest jej własnością. Co w sposób niezwykle łatwy pozwala na funkcjonowanie zasady nomenklatury, na prymat polityki nad ekonomią, na narzucanie rozwiązań.

Gdyby ta gospodarka była totalnie liberalna, to oczywiście nie da się ona pogodzić z tym systemem. Co więcej, myślę, że ciągle jeszcze władze nie dojrzały i nie zrozumiały na czym powinna w rzeczywistości reforma polegać i że one się boją tej reformy. Prawdziwej reformy się boją i się na nią nie zdecydują.

Ma pewno się boją funkcjonowania rynku w pełnym tego zakresie, albowiem cały system gospodarki socjalistycznej - to dla mnie nie ulega wątpliwości - był zaprojektowany, czy wymyślony na zasadzie antytezy rynku. Wobec tego pojawienie się rynku jest z kolei zaprzeczeniem tego systemu gospodarki jaki znamy czy jaki się nazywa realnym socjalizmem.

Uświadomienie sobie tego faktu jest niezwykle trudne dla obu stron, bowiem nie wyobrażam sobie, żeby władza dobrowolnie zrezygnowała z tej formuły sprawowania władzy jaką kocha, lubi...

A z drugiej strony, nie widzę możliwości realizacji wprost tych właśnie zamysłów totalnej reprivatyzacji, totalnego odejścia od formuły gospodarki państwowej.

Co z tego wynika? Myślę, że jedynym wyjściem jest - jeżeli by władza rzeczywiście chciała cokolwiek zmienić - zupełna zmiana filozofii podejścia do reformy.

Dzisiaj właściwie reforma w wykonaniu władzy polega na wymyślaniu kolejnego systemu, na próbie zastąpienia tego raz wymyślonego, złe funkcjonującego systemu jakimś innym, który być może byłby trochę lepszy. Otóż, mnie się wydaje, że to jest droga prowadząca donikąd, natomiast jedyną szansą działań reformatorskich jest jakaś próba pójścia jednocześnie w dwóch zupełnie różnych kierunkach. Z jednej strony nacisk na otwieranie całego instrumentarium towarzyszącego gospodarce rynkowej, które to instrumentarium zostało świadomie wyrzucone za burtę przez system - nie w wyniku jego błędów, ale w wyniku świadomej działalności - to znaczy chodzi o działanie w kierunku żeby pieniądź był pieniądzem, kapitał kapitałem, własność własnością itd.

Z drugiej strony chodziłoby o stałe rozluźnianie tego gorsetu, w który gospodarka została włożona w latach trzydziestych bo przecież okres stalinizmu był okresem zaprojektowania tego systemu.

A mówiąc jeszcze precyzyjniej, system gospodarki socjalistycznej jest pierwszym na świecie systemem całkowicie wymyślonym. Konstrukcja tego systemu polegała przy tym na próbie zastąpienia mechanizmów gospodarki rynkowej przez wszechogarniające plany, tak aby po jednej stronie móc zbilansować wszystkie społeczne potrzeby, a po drugiej sposób ich zaspokajania w postaci adresowych zadań odnoszących się do skali produkcji, jej ilości, jakości itd.

Otóż, tu trzeba by sobie zadać pytanie - gdzie tkwi błąd w tym mechanizmie? Czy jest to kwestia ułomności narzędzi, czy błąd tkwi w modelu? - W moim przekonaniu błąd tkwi w modelu. Model zawiera tyle zmiennych. Zmienne jest usytuowanie każdego punktu w dziesiątkach tysięcy życiowych sytuacji, że nawet gdybyśmy doszli do n-tej potęgi kombinacji komputerowych, to tego wszystkiego i tak nie da się zupełnie i do końca przewidzieć.

Konsekwencją takiego funkcjonowania modelu /który jest zresztą zdecydowanie pomyślany jako antyteza tego kapitalizmu, jaki znamy już tylko z wielkiej literatury naturalistycznej, z przekazów Zoli, czy czegoś takiego/ jest fakt, że w tym modelu pieniądź nie musiał być pieniądzem. On niczego nie wyraża. On był potrzebny tylko po to żeby - nie wiem - dodawać parowozy do statków, w celu funkcjonowania na drobnym rynku kołchozowym, czy na jakimś tam innym marginesie życia gospodarszego. I teraz, także w konsekwencji tego modelu, powstała organizacja gospodarki w postaci zmonopolizowanych struktur. Bo komunista nie mógł sobie inaczej poradzić. Wolał mieć zawsze jednego producenta i dlatego też gospodarka musiała być zorganizowana na podobieństwo struktur armijnych, żeby wszystko było jednakowe. Bez różnicy, czy by to miała być drobna wytwórczość, czy górnictwo, czy hutnictwo, to wszystko musiało mieć swoje Zjednoczenie, ministerstwo, kombinat itd., itd., żeby w ten sposób przynajmniej próbować udrożnić system dyspozycji nakazowej i kontroli. Ten system z kolei znakomicie współgrał ze swą nadbudową polityczną, bo bardzo łatwo było w tym układzie narzucić prymat polityki, jakieś tam wydumane ceny, a także uzasadnić konieczność istnienia silnego centrum, które jedynie wiedziało jak i co należy robić.

I od początku właściwie centralny planista, który miał sterować tym całym modelem - legiczyzny modelem /po dziś dzień przecież spora grupa intelektualistów zachodnich zachwyca się nim i uważa, że gdyby oni się za to zabrali, to może funkcjonowałyby on znakomicie/ - po prostu ten planista, borykając się z trudnością opanowania i sfinalizowania tego układu musiał zawsze dążyć do minimalizacji ilości zmiennych. Wobec tego, dla niego ideałem byłoby, gdyby każdy konsument miał takie same potrzeby, a każda inwestycja zawsze się jednakowo opłacała. I powiem, że niedaleko byliśmy od tego. Może nawet nie Kambodża i Chiny, ale w końcu stalinizm i cały system normatywny jaki wyrósł na gruncie tej gospodarki, między innymi ustalenie, że każdy powinien zajmować jednakową powierzchnię mieszkalną itp. Ideałem byłoby, gdyby każdy chodził w jednakowych butach, w jednakowym ubraniu...

Red.: Jednym słowem egalitaryzm.

A.P.: Totalny.

I teraz, jeżeli popatrzeć na historię reform w gospodarce socjalistycznej, a pragnę przypomnieć, że przebieg okres tych reform w Polsce na przykład trwa już ponad 30 lat, czyli niewiele mniej niż funkcjonuje sam system. Ten najlepszy system ma już ponad 40 lat licząc od 38 roku, kiedy to zaczął się rozwijać, a następnie w pełni przeszczepił tutaj. Otóż, cała historia reform w Polsce, ale nie tylko, - polega na ciągłych próbach wmontowania w ten istniejący model, czy w tę konstrukcję, narzędzi pochodzących z całkiem innej parafii, właśnie narzędzi z modelu gospodarki towarowo-pieniężnej, rynkowej, czy jak się to nazywa - ale bez zmiany podstaw systemu. Wobec tego ten system stale te nowe przeszczepy odrzuca.

Oczywiście po każdej takiej operacji coś tam z tego przeszczepu zostaje, ale są to szczątkowe czy drobne rzeczy, nie zmieniające w istocie całego mechanizmu. Bowiem dotychczas te reformy nie naruszyły konstrukcji, a konstrukcją jest własność, czyli pełna dyspozycyjność gospodarki, funkcjonowanie nomenklatury, którą ta własność uławia, prymat polityki nad ekonomią, no i system rozdzielnictwa, który pozwala dzielić i rządzić. Wobec tego nie może być reformy bez zmiany podstaw konstrukcji systemu.

Jak dotąd, władza nawet nie dopuszcza myśli o takiej możliwości. Stąd ciągle mówi o reformie, o odnowie, ale naprawdę tu niczego niestety nie można odnawiać. Bo, co to znaczy odnowa? Tu niczego nie należy rekonstruować, ale należy zmieniać.

Czyli reforma powinna polegać na zmianie.

A teraz, nawiązując do tego, co proponują Kraków, czy nasi dzielnicy liberałowie. Oni też proponują rozwiązania raczej dziś niemożliwe chociażby dlatego, że nie ma w Polsce kapitału zdolnego do wszystko przejąć, pozwalającego na pełną reprivatyzację. Ponadto, nieefektywność tej struktury jest tak wielka, że na przykład Huty Katowice nikt nie kupi, nawet gdybyśmy bardzo chcieli ją reprivatyzować. Ale abstrahując od tych ułomności strukturalnych - bo można powiedzieć, że Huta Katowice powinna zostać zlikwidowana - to po prostu trudno sobie wyobrazić żeby nagle można było zadekretować powstanie prywatnej własności w takiej skali, jaka zastąpiłaby dotychczasową własność państwową.

Kysię, że nie jest tutaj także rozwiązaniem wariant samorządowy, bo on jest z punktu widzenia czystej sprawności działania nie najbardziej efektywny. Demokracja w produkcji nie jest zbyt łatwa do zastosowania i być może historyczna szansa, jaka powstała w szczególnych warunkach polskich, polega na tym, żeby znaleźć coś co będzie stanowiło drogę odejścia od totalnego upaństwowienia, ale niekoniecznie w kierunku totalnego uprywatyzowania tego całego interesu. Że tu jest ogromna szansa właśnie na rozwiązanie typu akcyjnego, na własność grupową, ale nie w rozumieniu socjalistycznym, lecz przy poszanowaniu w pełni atrybutów własności - tylko nie w klasycznej formie własności prywatnej, bo to jest po prostu technicznie niezwykle trudne do przeprowadzenia.

Red.: Dużo się ostatnio mówi o rozwoju niezależnych inicjatyw gospodarczych. Można też zauważyć duże zainteresowanie, niejako oddolne tym, żeby takie inicjatywy rozwijały się bardziej i szybciej. Czy wobec tego drogą rozwijania takich inicjatyw prywatnych nie można by wymusić zastosowania jakichś reform w praktyce - na przykład reform zbliżonych do propozycji krakowskich?

A.P.: Myślę, że tak. To dla mnie nie ulega wątpliwości, że znacznie więk-

szcze znaczenie dla destrukcji systemu - bo o tym tu trzeba mówić - jak również dla ruchu reformatorskiego ma powstawanie i rozwój tego szeroko rozumianego sektora nispawnstwowego, bądź uspołecznionego, właśnie w postaci różnego rodzaju spółek, które są antidotum na klasyczną własność prywatną, niż działania prof. Sadowskiego, które jest ewidentnie nieskuteczne.

Skonny jestem tu przenieść ze sfery politycznej na życie gospodarcze tezę Kuronia o szczelinach i potrzebie wdzierania się w te szczeliny systemu. To znaczy, że im bardziej te nowe inicjatywy gospodarcze wykrystywać będą szczeliny powstające w systemie /szczeliny powstające także w wyniku nieskutecznych działań reformatorskich, bo jednak pewna liberalizacja i pewne rozluźnienie następują/ tym skutek będzie lepszy. Otóż, wdzieranie się w te wytworzone szczeliny może przynieść efekt znacznie większy niż działania reformatorów rządowych i z każdego punktu widzenia należy, myślę, takie działania popierać i przywiązywać wagę do tego typu inicjatyw.

Czy one jednak potrafią całkowicie zlikwidować system, na tyle go nadgryźć żeby on się zawalił? Tego nie jestem taki pewien. One mogą przyspieszyć proces korozji, proces rozpadania. Natomiast, gdyby władze chciały je zastopować, to mogą to bardzo łatwo zrobić.

Red.: Patrząc na sektor prywatny dostrzegamy funkcjonujące w nim elity gospodarcze. Elity te dzielą się w moim odczuciu na dwie części: elitę starą i elitę, która wykoniła się niedawno. Stara elita jest na ogół uzależniona od aparatu władzy, a sukces długo- trwałości swoich działań wiąże z poskuszeństwem i poddaniem się machinie państwowej. Elita, która powstaje teraz / i tu znów powołać by się można na te licznie powstające spółki/ chce być w miarę możliwości niezależna i bywa nastawiona opozycyjnie w stosunku do administracji państwowej, jednak cały czas działa w przekonaniu, że jest to działalność do- rażna, że można w każdej chwili zakreślić kurek i to wszystko zlikwidować, że wystarczy na przykład jeden przepis, by cała działalność stała się nierentowna. Elita ta na ogół ocenia swoją działalność jako związaną z dość dużym ryzykiem. Jak Pan ocenia szanse tych działań?

A.P.: Stuprocentowej pewności nie mam czy to się uda. Jest tu pewne ryzyko, także po stronie ludzi podejmujących taką działalność gospodarczą, ale myślę, że nawet jeśli się trzeba liczyć z możliwością zamknięcia tego kurka, to więcej przemawia za tym, że będzie on, jeśli nie całkowicie otwarty, to jednak, że spory strumień przezeń jeszcze popłynie w gospodarce. Sądzę, że władza też jest bez wyjścia, bowiem ona - jeżeli się nic nie stanie nieoczekiwanego, typu na przykład gwałtownego załamania się pieriestrojki w Związku Radzieckim, jakiejś fazy konfliktu zbrojnego, gwałtownego zaostrzenia się sytuacji międzynarodowej - to ta władza nie ma odwrotu. Nie ma odwrotu także od deklarowanej intencji reform, nawet jeżeli te reformy są nieskuteczne i nawet gdyby chciała. Determinuje ją strach przed pogarszaniem się sytuacji gospodarczej. Wobec tego, nawet jeżeli jest ona niechętna rozmaitym działaniom, to nie będzie ich stopować, bo jednak przynoszą one pewne ożywienie gospodarki.

To jest jeden aspekt sprawy. Drugi to to, że rozszerzenie sektora, w którym działają spółki prywatne czy półprywatne jest pewnym alibi dla władzy, bo ona przez to pokazuje, że w gospodarce jednak coś się dzieje, coś się zmienia.

Po trzecis, w każdej chwili może przerzucić odpowiedzialność m.in. za ruch cen, czy za nierówności płacowe właśnie na sektor prywatny. Sądzę, że będzie to robić i robi. Być może po raz kolejny wyciągnie w którymś momencie straszaka w postaci prywatnej inicjatywy, bo jak wiadomo, ma zawsze na podorędziu dwóch podstawowych wrogów - imperialistę czy rewizjonistę zachodnio-niemieckiego i prywaciarza. Z różnych powodów trudniej jest w tej chwili sięgać po wroga w postaci imperialisty czy rewizjonisty zachodnio-niemieckiego, bo chce się od niego wyciągnąć pieniądze, natomiast na prywaciarza będzie można zrzucić odpowiedzialność w każdej chwili. Zkaszczu, że nie jest to takie trudne, bo nawet, jeżeli opowiadamy się w sensie programowym za rozwojem sektora prywatnego to należy zwrócić uwagę, że ten sektor jest w dużej mierze patologiczny jak i cała gospodarka. Nie może bowiem być nie w pełni zdrowego w tych warunkach w jakich żyjemy. Im mniej stabilna jest sytuacja to oczywiście ta patologia musi się powiększać.

- Ale, jak powiedziałam, mimo tych zastrzeżeń uważam, że szanse na rozwój tego sektora są, że on będzie się rozwijał i że od stopnia jego aktywności zależeć będzie także tempo przekształceń - do pewnego etapu.

I teraz podstawowe pytanie polega na tym, czy tutaj ta ilość przejdzie w jakość na tyle, że rzeczywiście podważy system? Mam niejakie wątpliwości, ale...

Red.: Z Pana wypowiedzi wynika, że upatruje Pan szansę raczej w tworzeniu przedsiębiorstw akcyjnych, w uspołecznieniu własności w takim znaczeniu, żeby ludzie pracujący w zakładach mogli jako współwłaściciele decydować o kształcie działalności przedsiębiorstwa i o tym, co się z ich wspólną własnością dzieje.

A.P.: Tak - w przemyśle - tym wielkim, bo innej drogi tam nie widzę.

Może tu też pomóc ustawa o działalności kapitału zagranicznego w Polsce, jeżeli będzie ona atrakcyjna, a warunki jakie stworzy będą na tyle korzystne, że dojdzie na liczącą się skalę do fuzji przedsiębiorstw państwowych z kapitałem zagranicznym, co też zmieni warunki funkcjonowania gospodarki.

Przy tym, nawet jeżeli nie będzie to ilościowo zbyt znaczący margines, to z punktu widzenia wzorca twórczego będzie on miał ogromne znaczenie. Tu się powtarza sytuacja jaką mieliśmy pod koniec lat 70-tych i na początku lat 80-tych kiedy po raz pierwszy pojawiły się firmy polonijne. Zawsze przeciwieństwem był to margines z punktu widzenia skali gospodarzezej; ale jeżeli rozpatrywać go jako wzorzec zachowań /także negatywnych, bo przeciwieństw i takis się tu też musiały pojawić/ to myślę, że ten wzorzec zachowań menedżerskich i przedsiębiorczych miał znaczenie znacznie większe niż faktyczna rola tych firm.

Podobnie jest dzisiaj ze spółkami i podobnie będzie jeśli dojdzie do fuzji kapitału państwowego z kapitałem zagranicznym.

Myślę, że wielu, bardzo wielu państwowych menedżerów, jeśli chodzi o sposób działania zaczyna się orientować na te wzorce.

Red.: Widzę też wpływ tych wzorców na psychikę ludzi. One podważyły podstawowe pojęcia egalitaryzmu, w których się nasze społeczeństwo wychowało. Ludzie już myślą w inny sposób - nawet urzędnicy, dotąd na ogół przeciwni wysokim zarobkom jako niemożliwym do osiągnięcia uczciwą pracą, nawet przy wysiłku trwającym po 24 godziny na dobę.

Dzisiaj proces myślowy przebiega często tak - skoro mogą inni, to dlaczego również ja nie miałbym tyle zarabiać?

Zaczęło się to może od emigracji zarobkowej, która przywoząc do kraju dolary nie stanowiła grupy moralnie podejrzanej z tytułu posiadanych pieniędzy, ale teraz procentuje w wielu spółkach i firmach prywatnych.

A.P.: Tak, zgadzam się. Pojawia się też nowe zjawisko, które ma charakter nawet dwuznaczny. Z jednej strony korupcyjny, ale z drugiej skutecznie wspiera działania przedsiębiorcze. Mianowicie ludzie z aparatu władzy - szeroko rozumianego, politycznego, administracyjnego i gospodarczego - dostrzegają, że owe spółki i rozmaite korporacje, które wytwarzają naturalne ciała w postaci rad nadzorczych, komisji itp. są miejscem, gdzie można zasiać i można zarabiać pieniądze. Co więcej, znam wiele przykładów inspiracji tych właśnie ludzi z aparatu władzy, którzy wskazują szanse i stwarzają możliwości powstania spółek w nadziei, że właśnie znajdują się w ich aparacie nadzorczym, kontrolnym, bo za to dostaje się pieniądze. Ten aparat zaczyna bowiem myśleć podobnie jak wspomniany urzędnik: skoro można zarobić to wobec tego, dlaczego ja nie miałbym z tego skorzystać.

Chcą co, ci ludzie jakby nie chcą zrezygnować ze swoich przywilejów czy też wartości jakie daje pozycja i stanowisko, ale chcą mieć dyskonto. Uważają zresztą, że im się to należy. Dorabiają sobie taką ideologię, że właśnie oni, jako przedstawiciele władzy powinni firmy te nadzorować i kontrolować, że będą mogli sterować nimi, ale też będą brać za to pieniądze.

Jak powiadam, ma to aspekt korupcyjny aparatu władzy, no, ale nie widzę powodu żeby się z tego tytułu martwić. A na pewno są to działania, nawet jeżeli kierowane wyłącznie interesem prywatnym, to wspierające tę destrukcję systemu wykonywaną przez prywatne firmy. To wszystko razem wskazuje - tak mnie się przynajmniej wydaje - że zjawisko biznesu ma trwalszy charakter niż można by dzisiaj oczekiwać i sądzić.

I może jeszcze jedna rzecz bardzo ważna. Pojawiła się alternatywa dla ludzi młodych. Oni nie mieli do dzisiaj raczej żadnej alternatywy poza emigracją. Otóż, coraz więcej młodych ludzi dochodzi do wniosku, że te same pieniądze można zarobić tutaj i to w sposób bardziej godny, niekoniernie zrywając przysłowiowe talerze.

Albo odwrotnie, że jeżeli się tam zarobi pieniądze, to gdyby je tu zainwestować, to nagle sytuacja u tych młodych ludzi w znacznym stopniu się poprawi. Myślę, że to też jest ważne.

Red.: I jeszcze jedno pytanie.

- Patrząc na wyniki gospodarcze jakie w tej chwili mamy, nie można powiedzieć nic pozytywnego o trendzie rozwojowym naszej gospodarki. Skąd wobec tego biorą się optymistyczne prognozy Banku Światowego, czy innych ekspertów zachodnich co do możliwości poprawy sytuacji gospodarczej w Polsce?

A.P.: Myślę, że są to po prostu ich złudzenia. Część z nich, być może świadomie, chce w nie wierzyć żeby usprawiedliwić na przykład konieczność dokonania pewnych ulg wobec Polski, chociażby w sferze zadłużenia. Zaczynają wierzyć bardziej w słowa niż w rzeczywistość. Oni, jak dotąd przynajmniej, uwierzyli, że ta reforma rzeczywistie będzie tak realizowana, jak to wynika z werbalnych deklaracji. Przykładają oni nieco

inną miarę do oceny gospodarki aniżeli my. To znaczy wierzą w statystykę, której my w sposób ewidentny nie wierzymy, i słusznie. Wobec tego otrzymują zafałszowane dane. Wierzą w słowo i wierzą też w normalne procesy. Zatem, jeżeli uważają - i stąd ich zalecenia - że ta władza ma na przykład szanse na przykreślenie śruby płacowej, to ładują się i myślą, że bardzo szybko się rozczarują.

Red.: Bo owe zalecenia mogą być zastosowane tam, gdzie gospodarka jest normalna, natomiast u nas nic nie jest normalne.

A.P.: Ale tej nienormalności oni nie są w stanie zrozumieć, zresztą jest to punkt dla władzy, dla której raport Banku Światowego jest jedynym uwiarygodniającym dokumentem. Stąd, nie przypadkiem wszelkie próby podważenia publicznie miarodajności tego dokumentu budzą natychmiast ostrą, negatywną reakcję władz. O ile dzisiaj o gospodarce można wszystko lub prawie wszystko powiedzieć to krytyka Banku Światowego powoduje natychmiastową ripostę ze strony oficjalnej propagandy.

Red.: Dziękując za rozmowę, życzymy jak najszybszej rejestracji Towarzystwa Gospodarczego.

3 V 1988r. Tymczasowy Zarząd warszawskiego Towarzystwa Gospodarczego oświadczył, że przerywa wielomiesięczne bezowocne rozmowy z władzami na temat rejestracji. Pełny tekst wydanego wówczas oświadczenia zamieszczamy poniżej.

TOWARZYSTWO GOSPODARCZE
ZARZĄD TYMCZASOWY

Warszawa, dn. 3 maja 1988r.

Do
Członków Założycieli i
Sympatyków Towarzystwa

Z przykrością informujemy, iż nasze wielomiesięczne starania o rejestrację Towarzystwa nie przyniosły pozytywnych rezultatów. W tej sytuacji zdecydowaliśmy się na przerwanie bezowocnych rozmów z władzami, uznając, że nadal nie ma warunków umożliwiających powstanie należytej organizacji, której cele, kształt i zasady działania określać będzie wola jej członków, a nie arbitralne decyzje władz. Uważamy, że w istniejącej sytuacji kontynuowanie prób rejestracji stwarza jedynie pozory istnienia Towarzystwa i wrażenie, że przedmiotem sporu są mało istotne zastrzeżenia wobec szczegółowych sformułowań projektu naszego statutu, choć w istocie chodzi o charakter Towarzystwa i jego rolę w społeczno-gospodarczym życiu kraju.

Towarzystwo Gospodarcze potrzebne jest nie nam, jego inicjatorom i przyszłym członkom; jest ono przede wszystkim niezbędne gospodarce.

krajowi ułkanemu przez kryzys najgłębszym powojennej historii. Towarzystwo reprezentujące liczący się potentat ekonomiczny i intelektualny stanowiący sumę inicjatyw, działań i kapitału ludzi w nim skupionych, mogło bowiem stać się nie tylko partnerem dla władz, ale także stanowić siłę zdolną uruchomić nowe inicjatywy gospodarcze zwiększające efektywność gospodarczą przedsiębiorstw drobnej wytwórczości.

Od początku podjęcia inicjatywy utworzenia Towarzystwa Gospodarczego naszym podstawowym celem było dążenie do współtworzenia takich warunków ekonomicznych, jakie zapewniałyby rzeczywiste swobody gospodarcze i równość praw wszystkich podmiotów gospodarczych. Naszym celem było zawsze dążenie do wolnego rynku i równoprawnej gry ekonomicznej; tylko jej rezultat, a nie arbitralne decyzje obojętnie jakimi motywami inspirowane, powinny rozstrzygać, kto - bez względu na formę własności - tę realizację wygra.

Takie oczekiwania wobec Towarzystwa i jego roli w życiu społeczno-gospodarczym, wyrażane zarówno przez opinię publiczną w kraju jak i poza jego granicami, powodują, że nie możemy się zgodzić na daleko idące próby ograniczenia zarówno celów jak i charakteru i form działania Towarzystwa wyłącznie do Warszawy i województwa stołecznego /na co wyrażaliśmy zgodę zachowując prawo należenia doń osób z terenu całego kraju/, wyeliminowanie ze statutu postanowień dotyczących działalności gospodarczej, która przecież nie miała być źródłem dochodów ale finansowania celów działalności statutowej stwarzającej nową jakość ekonomiczną, zakwestionowanie prawa selektywnego przyjmowania członków itd.

Przebieg starań o rejestrację Towarzystwa wskazuje wyraźnie, iż władze nie chcą się zgodzić na powstanie niezależnej, silnej i wiarygodnej struktury organizacyjnej. Nikt nigdy nie kwestionował bowiem celów, dla jakich Towarzystwo ma powstać, przeciwnie blokada naszej inicjatywy nie przeszkodziła zarejestrowaniu analogicznych Towarzystw, tyle że związanych pod auspicjami instytucji państwowych. Okazuje się, że mimo werbalnych deklaracji o popieraniu inicjatyw obywatelskich władze nadal dążą do natychmiastowego ich upaństwowienia, do zajęcia pola, na jakim takie inicjatywy mogą się ujawnić; są więc podstawy by traktować pozytywne rezultaty naszych starań o rejestrację jako papier lakmusowy ujawniający rzeczywiste intencje władz.

Wyrażamy jednocześnie nadzieję, że obecny impas nie będzie trwał wiecznie i że Towarzystwo kiedyś powstanie. Im jednak później to nastąpi, tym większa będzie strata energii i czasu, a więc czynników tak ważnych dla przezwyciężenia kryzysu. Nasza decyzja nie oznacza przerwania prac programowych związanych z przygotowaniem działania Towarzystwa, gdy tylko warunki na to pozwolą. Przedstawiamy też listę wybranych problemów, których rozwiązanie uważamy za decydujące dla kondycji gospodarczej kraju i będziemy starali się przedstawić własne propozycje ich rozwiązań.

Przedstawiając powyższe stanowisko pragniemy jednocześnie podziękować wszystkim Członkom-Założycielom i ogromnym rzeszom sympatyków za pomoc i moralne wsparcie dla naszych dotychczasowych działań. Wyrażamy też nadzieję, że choć nie zakończone obecnie sukcesem, były one zarówno konieczne i pozostawiały trwały ślad w społecznej świadomości.

Za Zarząd

Gabriel Janowski

Andrzej Machalski

Aleksander Paszyński

JAK BYĆ POWIRNO:

Polską gospodarkę wyobrażamy sobie jako stabilny i efektywny system oparty na różnorodnych formach własności i organizacji, w których wszystkie jednostki gospodarcze są równe wobec prawa, posiadają swobodny dostęp do środków produkcji i kredytów oraz wszystkie poddane są jednokowym regułom gospodarki rynekowej. Szansę w osiągnięciu takiego modelu ekonomicznego upatrujemy w spełnieniu następujących, podstawowych warunków:

1. zniesienie systemu koncesjonowania poprzez wprowadzenie jako zasady pełnej swobody w podejmowaniu działalności gospodarczej przez obywateli;
2. wprowadzenie wolnego rynku pracy;
3. zrównanie sytuacji prawno-ekonomicznej polskiego i zagranicznego przedsiębiorcy oraz stworzenie stabilnych i korzystnych warunków pozwalających na inwestowanie obcego i krajowego kapitału w Polsce;
4. wprowadzenie stabilnego systemu podatkowego, przede wszystkim w postaci jednolitego i powszechnego podatku /dochodowego/, którego funkcją byłoby ułatwienie i zachęcenie do podejmowania działalności gospodarczej, rozwoju i inwestowania;
5. zniesienie ograniczeń w dysponowaniu i obrocie ziemią w rolnictwie;
6. zniesienie protekcyjnych i prohibicyjnych barier celnych oraz ograniczeń w dysponowaniu środkami dewizowymi;
7. przyjęcie jako zasady niekoncesjonowania handlu zagranicznego;
8. umożliwienie swobodnego rozwoju prywatnej przedsiębiorczości we wszystkich dziedzinach życia społecznego i gospodarczego;
9. umożliwienie tworzenia dobrowolnych organizacji gospodarczych;
10. zaprzestanie propagandy dyskredytującej prywatną przedsiębiorczość oraz takie wartości cywilizacyjne jak własność prywatna i wolny rynek.



Michał Łożeński

CHINY - ROSJA SOWIECKA

Dwie reformy

Największym błędem politologów, sowietologów i wszelkiego rodzaju analityków rzeczywistości "realnego socjalizmu" doby schyłkowej jest rozpatrywanie każdego kryzysu osobno... Mówi się więc o "kryzysie polskim", o "zmierzchu imperium sowieckiego", o próbach reform gospodarki węgierskiej, o "agonii ekonomiki rumuńskiej", o udanych reformach chińskich i o meandrach reformatorskich w Czechosłowacji, w NRD-i gdzie indziej... Wówczas kiedy kryzys jest powszechny, tak jak "uniwersalnym" był /jest/ model narzucony krajom Europy Wschodniej i niektórym krajom Azji; jest to kryzys modelu, systemu, kryzys określonej koncepcji rozwojowej tak w płaszczyźnie ekonomicznej, jak i społeczno-politycznej; koncepcji, która za życia jednego pokolenia w wielu krajach nie wytrzymała konfrontacji z czasem, z postępem naukowo-technicznym i technologicznym, przynosząc nie tylko olbrzymie rozczarowanie jej apologetom i zwolennikom, ale również autentyczne cierpienia i nawet nędzę w całej jej ponurej "okazałości"...

W ciągu ćwierćwiecza zarysowały się coraz wyraźniejsze perspektywy ostatecznej przegranej "realnego socjalizmu" w "historycznym wyścigu" z kapitalizmem, który przez nikogo, nawet przez najzagorzalszych swoich zwolenników, nie jest bynajmniej uznawany za system "skonczenie doskonały", w przeciwieństwie dodajmy do apologetów "realnego socjalizmu". lecz system wolnorynkowy, model swobodnej konkurencji i elastycznej "nadbudowy", że posłużą się terminem starej szkoły, w bezpośredniej konfrontacji z czasem wykazały się walorami, których "realny socjalizm" nie tylko nie posiadał, ale ze względu na swój kod genetyczny posiadać nie jest w stanie. Zresztą... w ciągu ćwierci wieku /od 1960 do 1986r./ GNP brutto USA wzrosło 8-krotnie; EWG - 17-krotnie; Japonii - 40-krotnie; Chin - 15-krotnie; Rosji Sowieckiej zaś - ok. 6-krotnie. W 1986r. dochód narodowy brutto USA wynosił 4 200 mld dol., a Rosji Sowieckiej - 1 230 mld dol. Pod względem produkcji globalnej Rosja Sowiecka /która - zgodnie z programem XIII Zjazdu KPZR - miała w roku 1980 zbudować społeczeństwo komunistyczne, "po drodze" niejako wyprzedzając USA we wszystkich wskaźnikach / spadła z II na IV miejsce, a jej dynamika "rozwojowa" nie zapewnia już nawet prostej reprodukcji posiadanego, zacofanego i rozsypanyego się potencjału przemysłowego, gdyż oscyluje w granicach 2 - 2,5%. Praktycznie, jeżeli mamy uwierzyć /a chyba możemy/ Michałowi Gorbaczowowi, w ciągu ostatnich dwudziestu lat Rosja So-

wiekszą "legitymowała" się z e r o w y m przyrostem gospodarczym i

Właściwie już w porowie lat pięćdziesiątych stało się oczywiste, że "trzeba coś zrobić", tylko nie bardzo było wiadomo c o, a może raczej j a k... Przez następne 30 lat /1/ trwało w y ś c i g /już nie z kapitalizmem.../ pomiedzy p e ł z a j a y m k r y z y s e m, a "stawistycznym" przywiązaniem do doktryny /paranoicznej/, do modelu /archaicznego/, do metod równie nieskutecznych, co i niezwykle kosztownych. Zgubiono przy tym naturalną wiedz człowieka z pracą... Zrzucono moralną infrastrukturę społeczeństwa... Pewien Europejczyk, który wiele lat spędził na Dalekim Wschodzie, nim znalazł się w Europie, zauważył - tym bardziej nie złośliwie - że za największe osiągnięcia komunistów wypada uznać, iż "oduczili" oni Chińczyków rzetelnej i wydajnej pracy, natomiast "nauczyli" Niemców /wschodnich/ pić na modłę rosyjską... Przez prawie ćwierć wieku w wyszczególnionym trybie, przynajmniej w większości krajów "realnego socjalizmu"

N o w a K l a s a, czyli nomenklatura konsekwentnie dążyła do utrzymania starych mechanizmów rządzenia w nowej jakościowej sytuacji, mimo iż gaspnaca dynamika rozwojowa zdecydowanie zawężała pole manewru partyjnej biurokracji, która swoje klasowe /lub kastowe/ interesy stawia ponad interes narodowy.

ZA CHIŃSKIM MUREM

powstała szczególnie dramatyczna sytuacja, a kryzys dał o sobie znać w wielu płaszczyznach. Doktrynerstwo Mao Tse-tunga i woluntarystyczne eksperymenty w rodzaju osławionego "wielkiego skoku", którego "filozofia" sprowadzała się do maksmy - hasła: "Trzy lata ciężkiej pracy - potem sześćcie" - wstrząsnęły rzeczywistością Chin. Widzimy więc, że Mao jeszcze przed Messnerem i Sadowskim "zauroczyła" ta liczba... Zresztą Gorbaczow również "zaklina się" na tę kabalistyczną "trójkę", ale trzy lata jego rządów nie przyniosły na razie z a d n y c h konkretnych efektów! Nie wiadomo... odkąd rozpoczyna się owe "odliczanie czasu"; wiadomo natomiast - zgodnie z prawami dialektyki - że im bliżej "szczęścia", tym życie staje się bardziej nie do zniesienia...

Z kolei "rewolucja kulturalna", której hasła sprowadzały się do totalnego egalitaryzmu i zerwania z układem towarowo-pieniężnym, a więc całkowitej transformacji stosunków społecznych /Mao mówił: "Amerykanie umieścili pierwszego człowieka na Księżycu... My umieścimy pierwszego człowieka na Ziemi"/ - wtrąciła olbrzymi kraj w otchłań nędzy, postawiła miliardową ludność Chin w obliczu zagłady biologicznej...

Jednocześnie na kontynent zaczęły docierać zaskakujące wieści z Tajwanu... Skorumpowany, nieudolny i skazany zdawałoby się na zagładę reżim kuomintangowski, po ostatecznej klęsce w wojnie domowej w 1949r., przeszedł zażwiwiająca metamorfozę, a gospodarka wyspy w krótkim czasie osiągnęła imponujące wyniki.

Chińczycy - przywódcy komunistyczni, po zerwaniu z Moskwą w połowie lat 50-tych, odrzucili co prawda "model sowiecki", wyprosilili specjalistów sowieckich, których w pewnym okresie było ponad 10 tys., a którzy praktycznie kontrolowali niemal wszystkie dziedziny w ekonomice Chin, ale w miejsce wzorów sowieckich zaczęli lansować model

"dla wszystkich ubogich", o którym dokładnie nikt nie wiedział - nie wyrażając... twórców!

Tradycje populistyczne w Chinach zawsze odgrywały istotną rolę w systemie funkcjonowania państwa. Niejeden założyciel tej czy innej dynastii wywodził się z chłoptwa, wyniesiony na tron Syna Nieba na wzburzonych falach buntu społeczeństwa. Jeszcze Konfucjusz, jakby nie było, twórcą państwowej filozofii zhierarchizowanego społeczeństwa nauczał: "Prawo do buntu przysługuje wówczas, kiedy panujący przestaje dawać dowody zdolności pełnienia swych obowiązków wobec poddanych". Uznany przez swych adwersarzy z lewa za reakcjonistę - Czang Kai-szek w pracy p.t. "Losy Chin" wypowiadał liczne poglądy, które zaakceptował następnie Mao Tse-tung, rzucając zastępy "hunwejbiniów" na moźnych świata tego...

Niemal od początków władzy ludowej w Chinach powstały kontrowersje między elitą władzy /tzw. kadrowcami - czyli aparatem partyjnym/ a masami, zwłaszczcza chłoptwem, tą napędową siłą rewolucji; stopniowo kontrowersje objęły również pokaźne odłamy klasy robotniczej i inteligencji. Lata sześćdziesiąte przyniosły liczne starcia o wyraźnym podłożu klasowym. Jednocześnie postępuje erozja struktur nośnych ekonomiki, spadek produkcji rolnej, zakłócenia w obiegu dóbr materialnych na obszarze całego kraju.

W tym czasie Rosjanie, którzy niezmiennie uważali Chiny Północno-Wschodnie /Mandżurię/ za domenę swych wpływów, zaczęli podsycać tendencje odśrodkowe, penetrować aparat władzy werbując zwolenników...

W Chinach nadal istniał ostry problem wyżywienia rosnącej liczby ludności, który obrazowo ujmowano jako "kwestię drugiego posiłku dzienne". Według FAO - w tym okresie na jednego mieszkańca przypadają w Chinach 0,46ha użytków rolnych, w USA - 2,27ha i w Rosji Sowieckiej - 1,74ha... z tym, że wydajność rolnictwa chińskiego /jak i sowieckiego również/ katastrofalnie spadała w miarę "postępów w budownictwie komunistycznym."

Lionel M. Chassin w pracy p.t. "Komuniści podbili Chiny" pisał m.in.: "...Kiedy ten olbrzymi rolniczy kraj osiągnie pewien stopień cywilizacji i uprzemysłowienia opartego na niewyczerpanych zasobach Mandżurii i Sinciangu, będzie chciał odgrywać czołową rolę nie tylko w Azji ale i na świecie..."

Lecz owa /trafna zresztą/ wizja nie mieściła się w planach globalnych kremlofskich strategów! Stąd systematyczne podkopywanie pozycji rządu centralnego w obu częściach Chin, które doprowadziło nawet, jak pamiętamy, do ostrej konfrontacji zbrojnej pod koniec lat sześćdziesiątych. Działo się to mniej więcej dokładnie tam, gdzie Chińczycy odpierali kozaków rosyjskich w... XVII wieku !/.

Na początku lat siedemdziesiątych słabnący na ciele i umyśle Mao zaakceptował ostatecznie /mimo sprzeciwu kamaryli, której przewodziła jego żona - Cien-cing/ daleką ideą reorientacji polityki Zagranicznej Chin Ludowych. Jej filarami stały się: otwarcie na USA i historyczne pojednanie z Japonią. Równolegle wyraźnie wyciszono niszczyielskie ekscesy "rewolucji kulturalnej".

We wrześniu 1971r. podczas próby ucieczki samolotem do Rosji Sowieckiej, zginął marszałek Lin Biao - "uczeń i następca Właskiego Sternika", dowódca słynnej 4 Ludowo-Wyzwoleńczej Armii, absolwent akademii im. Frunze w Moskwie.

Zwolennicy reform w Chinach, na czele których znalazł się również Czou En-laj oraz liczni prześladowani uprzednio uczeni i eksperci /wielu spośród nich było wychowankami zachodnich wojsk i ustraszali, iż: "Nasze obecne metody - to ingerencja prowincji, rządów miejskich, regionów i różnych wydziałów KC w sprawy gospodarki. Jest to metoda pozaekonomiczna, nie jest nawet kapitalistyczna, ale feudalna..."

Bez uchwał partyjnych, bez przyjęcia ustaw rządowych... przystąpiono do likwidacji szlacheckich komunalnych, szczególnie nieefektywnej formy produkcji w rolnictwie, prawdziwego reliktu starożytności, wczesnego średniowiecza - paragonowolniczego systemu organizacji pracy na roli. Nie należy zapominać, że w Chinach nigdy nie istniało niewolnictwo w postaci znanej w Europie, a przede wszystkim w Rosji, gdzie koczowcy wywodzą się w prostej linii z "obszczajanej" formy gospodarowania, która przetrwała nawet po reformach cara Aleksandra II w 1861-1874r. i zniesieniu pańszczyzny /"krepostnego prawa"/. Niewolnictwo w pewnych formach - system pasportowy, przypisanie do koczowca, obowiązków melioracyjnych - istnieje nadal...

Natomiast reformatorzy chińscy zaczęli tam, gdzie przede wszystkim zwyciężyła rewolucja, czyli na wsi. Następnie skutecznie podważyli - z właściwym Chińczykom pragmatyzmem - niektóre dogmaty.

"Marksizm nie może rozwiązać problemów Chin - pisal organ partyjny Zennin Zypac w grudniu 1964r. - Przywiązanie do pewnych dogmatów marksizmu jest naiwne i głupie... Marks nie mógł przewidzieć wszystkich tendencji współczesności..."

W miejscach komuny ludowych powstała na wsi chińskiej gospodarka quasi-farmerska - podstawa stała się zagroda chłopska, przy czym dopuszcza się łączenie zagród w większe gospodarstwa, co w warunkach silnie rozbudowanych włości rodzinnych /klanów/ tworzy szczególnie preferencje dla wszelkiego rodzaju inwestycji - czyli intensyfikacji produkcji rolnaj. W ciągu trzech lat nastąpiło podwojenie produkcji rolnaj /w 1964r. - 407 mln ton, co było dotychczas rekordem/ przy jednoczesnej bardzo korzystnej zmianie struktury produkcji. Producent i rynek /w tym zagraniczny/ - nie zaś planiści z centrum - dyktowali odtąd zadania dla rolnictwa i warunki realizacji.

Nowe przepisy o przedsiębiorstwie państwowym, rozwój kooperacji, wysoka dynamika rozbudowy prywatnej inicjatywy, przepływ kapitału, w tym także zagranicznego, głównie w specjalnych strefach wydzielonych na północy Chin; ekspozycja czynników ekonomicznych /niewątpliwie kosztem ideologicznych/; konsekwentny podział kompetencji pomiędzy aparatem partyjnym a administracją i kierownictwem w sferze produkcyjnej; szybki rozwój stosunków towarowo-pieniężnych; silne bodźce materialnego zainteresowania i bogata oferta rynkowa - wszystko to stworzyło nową sytuację, której podstawa jest o tworzenie świat...

Wykonili się jednocześnie określone problemy na wsi i w mieście, jak na przykład dyktamenty inwestycji publicznych /irygacja/, reali-

zaczę, których napotykała na poważne trudności w warunkach dużej samodzielności producentów rolnych. Jest problem pełzającej inflacji. Może nie tak ostry, lecz na pewno istnieje problem r. warstwienia socjalnego. W środowisku miejskim jest problem pełnego zatrudnienia, głównie młodzieży, a na tym tle potęgują się zjawiska patologii społecznej. W przemyśle w pewnym okresie wystąpiły oznaki przegrzania koniunktury. W pobowie lat osiemdziesiątych niepokojąco wzrosło zadłużenie zagraniczne, ale proces ten jest, jak się wydaje, kontrolowany. W każdym bądź razie wiarygodność kredytowa Chin Ludowych jest na odpowiednim poziomie.

Na przełomie lat 1986/87 wystąpiły napięcia społeczne, które znalazły swój wyraz głównie w demonstracjach studenckich pod hasłami dalszej reformy, ale już instytucji politycznych.

Chińskie reformy - tzw. sztyr modernizacja /rolnictwo, przemyśl, wojsko, nauka/ stanowią gigantyczne przedsięwzięcie. Nie odbywają się wszakże w społecznej próżni. Młody robotnik nazwiskiem Wei Tian-szy wywiesił "tatsyba" - gazetkę wielkich hieroglifów /tradycja z VIII wieku/, w której domagał się piątej modernizacji - reformy strukturalnej socjalnych... Dostał 15 lat, zaś "tatsyba" zostały zakazane, "aby nie przeszkadzały reformom gospodarczym", jak oświadczył ich kreator Deng Xiaoping. Ale reformy muszą być wszędzie albo ich nie będzie nigdzie. Na odwrót jednak jest już chyba za późno!

SPOŹNIONE REFORMY SOWIECKIE

Działalność reformatorska Michaiła Gorbaczowa przywodzi na myśl smaną nam z dzieciństwa powieść Carola Lewisa "Alicja w krainie czarów" - zwłaszcza jeden passus, gdzie mówi się, że jeżeli nawet bądź i sz biegł bardzo szybko, nie oznacza to, że posuwasz się do przodu!

"Cokolwiek się stanie... jedno jest pewne: tak dalej żyć nie sposób!" Dramatyczna ta inwokacja pochodzi z jednego z pierwszych wystąpień Michaiła Gorbaczowa... bodajże w Chabarowsku w 1986r. Lic dziwnego - Imperium bowiem znalazło się w obliczu dylematów nie do rozwiązania w istniejącym układzie społeczno-politycznym, w warunkach niewydolnej bazy ekonomicznej, w sytuacji, kiedy stało się jasnym, że społeczeństwo nie odwołałnie utraciło z dołności i kreatywności; że nie posiada ono żadnej wizji; że państwo "zwycięskiego proletariatu" nie ma nic do zaczerpnięcia ani własnym obywatelom ani też ludzkości!

To nie "Światły reformator", to nie "dóby car", to nie "młoda partia" wymyślił pieriestrojkę i głośność... To była i jest dramatyczna konieczność, dla której nie ma praktycznie alternatywy, ale... która przyszedła z byt północ...

Jeżeli cokolwiek "realnego" powstało w pierwszym kraju "realnego socjalizmu" - to jest tym nowa klasa, nomenklatura, partyjna biurokracja, która - zgodnie z wyznawaną przez siebie ideologią marksistowską - nie zejdzie z areny dziejów bez rozpaczliwej walki; nie wyrzeknie się swoich przywilejów - rządzić i za nic nie odpowiadać!

"Mordercy przebudowy są wśród nas - pisał ostatnio Jewgienij

Jewtuszenko - Zabijamy przebudowę naszym brakiem odwagi cywilnej, naszym wyczekiwaniem - kto weźmie górę..."

T a k i leż nie może istnieć Sowjety cywilna" i... gdzie nigdy nie istniało społeczeństwo obywatelskie!

Czy ktokolwiek w Rosji Sowieckiej może serio traktować zapowiedź rozwiązania problemu żywnościowego w ciągu kilku lat, kiedy w referacie sprawozdawczym na XII. Zjazd partii w 1952r. podkreślono, iż "problem żywnościowy został rozwiązany raz na zawsze". Przeciwnie Nikita Chruszczow przyrzekał uroczystie, że "w 1960r. zostanie zbudowane społeczeństwo komunistyczne", iż "Związek Radziecki depcze po piętach USA w produkcji mleka, mięsa i jaj..." Przeciwnie Michaił Gorbaczow "podjął" tenże program żywnościowego Leonida Breżniewa z 1962r., który po raz kolejny zapowiadał "radykałne rozwiązanie problemu żywnościowego".

A co oznacza obietnica - nie wiadomo już która z kolarzy - że "do roku 2000 praktycznie każda rodzina powinna posiadać własne mieszkanie". Ten t r y b ... "praktycznie"... "powinna"...

Czy należy się dziwić, że "reformy" Michaiła Gorbaczowa spotkały się z tak ograniczonym rezonansem społecznym, a przede wszystkim groźnym z i l c z e n i e m "h e g e m o n a", czyli klasy robotniczej. O chłopstwie kłchozowym, zagrożonym z a g ł a d ą b i o l o g i c z n ą na skutek horrendalnego alkoholizmu - w ogóle trudno mówić w kategoriach nadziei i przyszłości.

Na tym właśnie polega podstawowa różnica przemian w Chinach i w Rosji Sowieckiej - na uruchomieniu w pierwszym przypadku potężnych mocy powszechnego zainteresowania i poparcia dla koncepcji inicjatyw "z góry" i nikłym, wręcz mizernym wsparciu wszelkich, również "odgórnym" propozycji ze strony bądź co bądź realizatorów. Poza tym, co jest także bardzo istotne - opór nomenklatury w Rosji okazał się bez porównania silniejszy i skuteczniejszy niż w Chinach.

W końcu ubiegłego roku francuskie pismo "Problemes Economiques" pisało: "... wprowadzane dotąd zmiany niewiele przyczyniły się do polepszenia sytuacji pod względem zaopatrzenia... niezbędne są zupełnie nowe metody planowania..."

Martin Feldstein, profesor ekonomii na uniwersytecie w Harvard, stwierdził na łamach "Wall Street Journal" po wizycie w Rosji: "Radciele robotników nie na będących do starania się o większe zarobki, ponieważ niedobór lepszych towarów i usług sprawia, iż posiadane ruble nie mogą być wykorzystane na podniesienie stopy życiowej..." - Pewna poprawka - nie "lepszych towarów", ale w s z y s t k i c h towarów, gdyż jest to "gospodarka chronicznych niedoborów" - jak powiedział Milton Freedman. Natomiast inna uwaga w tym samym artykule wydaje się być bardzo trafna - "Każda radykalna reforma, musi stwarzać problemy, jednak stawiana w ZSRR jako cel - gospodarka w połowie wolna, a w połowie kontrolowana - natrafia w sposób niemiłosierny na dużo bardziej ostre i uporczywe trudności". I dalej: "... inflacja i inne problemy osłabiają społeczne poparcie dla restrukturalizacji i biurokracji wykorzystują objawy niepowodzeń jako oświadczenia do przywrócenia dawnej, centralnie planowanej gospodarki..."

Natomiast "Business Week" słusznie ze wszelkich miar zwraca uwagę, iż "posunięcia w kierunku modernizacji mogą pociągnąć za sobą duże ryzyko dla Gorbaczowa. Jedynym źródłem środków na zwiększenie inwestycji

w przemyśle może być ograniczenie wydatków na cele militarne...".
Ale imperium nie może na to pójść!

Dlaczego jednak pieriestrojka nie ma żadnych szans ?

Cywilizacja stepowo - bizantyjska, w łonie której powstało i "rozkwitło" imperium rosyjskie, sowieckie, które jest jej emanacją - n i g d y nie była cywilizacją kreatywną lecz właśnie łupieżczą i destrukcyjną. Cywilizacja ta n i c z e g o nie stworzyła - zubożyła natomiast dorobek kulturowy i cywilizacyjny swoich sąsiadów, poświęcając w i m i ę u t o p i i miliony istnień ludzkich.

Cywilizacja stepowo - bizantyjska Zejdzie więc z kart dziejów ludzkości wraz z upadkiem imperium sowieckiego - ostatniego imperium we współczesnym świecie.

...
...
...

...
...
...



Ireneusz Krzeмиński

Siła przede wszystkim

CZYLI O ŚWIADOMOŚCI POTOCZNEJ...

W programie XIII Tygodnia Społecznego zorganizowanego przez Koło Nauk Społecznych KUL w dniach 22-24 marca 1988r., pod hasłem "Społeczeństwo polskie końca lat 80-tych: zbadać - ocenić - działać", znalazło się wystąpienie dr Ireneusza Krzeмиńskiego z Instytutu Socjologii UW zatytułowane "Polska po Solidarności". Dokonując bez wiedzy i zgody autora wyboru obszernych fragmentów z tego wystąpienia, redakcja starała się możliwie najwierniej oddać główne tezy i sens tekstu. Za dokonane odstępstwa od oryginału Autora i Czytelników serdecznie przepraszamy.

Na wstępie swojego wystąpienia chciałbym zaznaczyć, że to, co pragnę powiedzieć - zwłaszcza gdy odwołać się do tytułu, który towarzyszy całym rozważaniom - jest być może zbyt mało ukierunkowane na myślenie o społecznym działaniu i możliwościach społecznego działania, jest raczej opisem stanu pewnego bszwładu-i marazmu, próbą przyjrzenia się owemu stanowi, niż próbą określenia trendów dynamizujących świadomość społeczną.

Chciałbym się przede wszystkim skupić na tym, co socjologowie zwykle nazywają tzw. świadomością społeczną, czy na czymś, co bym nazwał treściami świadomości społecznej i postawami ludzi.

Kiedy mówię o świadomości społecznej, rozumiem przez to pewne struktury myślowe potocznie przyjmowane- mówiąc inaczej pewne struktury interpretacyjne czy też całościowe struktury interpretowania świata - które są strukturami czasami głębokimi i niekoniecznie muszą być uświadamiane przez samych zainteresowanych, niekoniecznie wypowiedane wprost, ale przejawiające się w całym sposobie myślenia i zachowania.

Z góry się jednak zastrzegam, że obraz, który państwu przedstawię nie będzie charakterystyką świadomości społecznej poprzez wszystkie jej odmiany, nie będzie to np. typologia postaw, typologia struktur interpretowania świata. Świadomość społeczną ujmować będę jako wykładnię struktur potoczności, która tworzy najbardziej powszechny, oczywisty, najszerszej podzielany

sposób myślenia. To co powiem, dotyczyć będzie głównego nurtu myślenia społecznego - czy też przeżywania świata. Z pewnością jednak nie wyczerpuje to wszystkich postaw, również tych które w potoczności się zdarzają. Lecz sądzę, że nie można sobie wyobrazić jakiegokolwiek postaw potoczności, które by nie odnosiły się do tego, co ujmuję jako główny nurt. Inne struktury muszą jak gdyby tę główną postać interpretowania świata brać pod uwagę - i albo jej przeczyć, albo z nią dyskutować.

Tekst mój skonstruowałem na zasadzie polemiki z wystąpieniem mojej koleżanki, doc. Mirosławy Marody - "Mieć aby być" - który został wygłoszony w Krakowie na konferencji socjologów poświęconej tematu "Społeczeństwo polskie lat 80-tych".

W swojej wypowiedzi doc. Marody opisuje świadomość społeczną jako coś co składa się z trzech elementów. Pierwszy z nich to - poczucie deprywacji, które osiąga postać poczucia zagrożenia degradacją cywilizacyjną. Drugi - to poczucie bezsensowności prowadzące do zakwestionowania dotychczasowych form działania jako sposobów osiągania celów życiowych. Trzeci - doc. Marody nazywa bardzo ładnie - spieniężeniem świadomości społecznej.

Poczucie deprywacji i zagrożenia degradacją cywilizacyjną jest rozumiane przez Autorkę jako poczucie zagrożenia nie tylko sytuacji bytowej, obniżenia się poziomu życia - lecz również jako zagrożenia sięgającego samych podstaw egzystencji, form konsumpcji - także form obyczajowych. Zagrożenie sytuacji bytowej, zagrożenie cywilizacyjne sięga tak daleko iż zagrożona jest właściwie cała sfera zachowań, które się ze sposobem czy zasobem posiadania, z dostępem do dóbr, z zamocnością wiąże. Stąd też - twierdzi doc. Marody - następuje przebudowa pewnych głębszych struktur świadomości - np. sposobów oceniania się ludzi nawzajem, związanych z prestiżem, zadowoleniem życiowym, celami, które wyznaczają perspektywę udanego życia. Zdanem doc. Marody mamy do czynienia z zankiem np. znaczenia wykształcenia; prestiż społeczny zaczyna być wiązany wyłącznie ze stanem posiadania, z ilością pieniędzy - a ich zdobycie stało się głównym celem życiowych aspiracji. Stąd też wywodzi się owa teza trzecia o spieniężeniu świadomości; pieniądze stają się podstawowym kryterium wzajemnego oceniania się ludzi. Socjologiczne badania wskazują - i tu cytuję Autorkę - "na wkraczanie pieniądza w te obszary świadomości społecznej, w których rzadko poprzednio gościł". Na skutek przemian związanych ze sposobem osiągania zamocności, zarówno prestiż jak i samobczna wiązane są coraz częściej z pieniędzmi. W chwili obecnej socjologowie mówią wręcz o spieniężeniu motywów, polegającym na szukaniu sukcesu życiowego w "robieniu pieniędzy" zamiast robienia kariery społecznej, politycznej, zawodowej." Dalszy tok rozmówienia K. Marody prowadzi do następującego wniosku: "W latach 1981-1985 nastąpiło przesunięcie uwagi społecznej ze zjawisk czysto politycznych na zjawiska ekonomiczne."

I od tego miejsca zaczyna się moje dzisiejsze myślenie o świadomości społecznej i moja zasadnicza niezgoda na wyżej przytoczoną tezę. Twierdząc coś dokładnie odwrotnego: to co częściowo identyfikuje moja koleżanka da się zresztą tylko przy przyjęciu za pewnik innej tezy, tezy o wszechpolityzacji myślenia społecznego. Stan świadomości społecznej w jej najbardziej rozpowszechnionych potocznych formach wyznaczany jest przede wszystkim przez myślenie polityczne, przez pewnego rodzaju diagnozę polityczną, przez politykę właśnie - zresztą w określony sposób zidentyfikowaną, sposób dokładnie odwrotny niż rozumienie polityki, które niósł ze sobą ruch społeczny "Solidarności".

Podstawową kategorią, której chciałbym użyć do opisu stanu świadomości społecznej - jest kategoria negatywizmu, wynikająca z określonej definicji

sytuacji, którą wyznacza właśnie sytuacja polityczna i określone myślenie o polityce, czy też zwycięstwo w świadomości konkretnej koncepcji politycznej. Negatywizm ów da się wyrazić bardzo prostym hasłem: "nic się nie da zrobić, jak by należało, jak by się chciało, ponieważ ONI nie pozwolą". Kategoria ONI jest pojęciem tradycyjnie występującym w świadomości społecznej Polaków od blisko czterdziestu lat. Zawsze byli ONI, i ONI byli różni, raz mniej, raz bardziej groźni, raz byli bardziej określani, a znowu kiedy indziej kategoria ta bardziej się rozmywała; niemniej jest to kategoria, bez której nie można się obyć w opisie potocznych struktur świadomości społecznej. Dziś owo pojęcie - Zakładnie jest wyjątkowo precyzyjne - myślę, że obecnie consensus społeczny co do tego kim są ci ONI jest niezwykle szeroki. Oczywiście ONI składają się nie tylko z partii, a przede wszystkim z partyjnej ekipy rządzącej - ci ONI, którzy naprawdę uniemożliwiają działanie są trochę dalej - za tą granicą, do której z Lublina jest bliżej niż z Warszawy... Ci "nasi Oni" nie są tacy groźni a właściwie to nie oni wyznaczają obecną perspektywę, tylko obecność sąsiedniego, zaprzyjaźnionego mocarstwa. Teza, że "nic się nie da zrobić jak by się chciało i jak powinno być zrobione, ponieważ ONI nie pozwolą" - mimo iż brzmi kolokwialnie, posiada daleko idące, niesłychanie pesymistyczne konsekwencje. Wyżej przytoczonej tezie byłbym skłonny przypisać znaczenie filozoficzne a nawet metafizyczne /oczywiście jest taka metafizyka potoczna.../.

Warstwa pierwsza - "nic nie można zrobić, co by należało zrobić..." ma oczywiście bardzo prostą polityczną wykładnię: okazało się, że siła decyduje o przebiegu spraw społecznych, ci którzy dysponują siłą zawsze są górą, władza na siłę musi być oparta - i właściwie myślenie o tym, że można inaczej ułożyć życie społeczne, okazuje się nieporozumieniem, prowadzi do przegranej. Przegrana "Solidarności" jest przegrana społeczeństwa, które siły nie miało; bądź też - co jest znacznie bardziej charakterystycznym sposobem myślenia - "Oni" z "Solidarności" nie mieli tej siły, którą powinni mieć. Ponieważ obecnie owej siły również społeczeństwo nie ma, ludzie nie mają, to właściwie nic się nie da zrobić...

Przytoczona definicja polityczna jest tylko warstwą pierwszą. Mojej tezie przypisałbym warstwę następną, głębszą, prawdziwie pesymistyczną, mianowicie - zwycięstwo zło. Przestrzeń życia na tym świecie jest w tej chwili wyznaczona przez zło gnębiące ziemię i nie ma na nie rady. Jak wiadomo z diablem człowiek nie daje sobie rady, w związku z tym najlepszym co można zrobić to przystosować się, przyjąć to cierpienie i nie spodziewać się niczego dobrego. Osiągnięcie szczęścia na tym świecie jest niemożliwe, gdyż Zły rozsiadł się akurat w naszej okolicy.

Z tymi dwiema warstwami wiąże się jeszcze jedna podstawowa formuła, mianowicie: "człowiek się nie liczy", która jest efektem założenia - "ten, kto ma siłę jest górą". Konsekwencje takiego myślenia są znowu daleko idące: "ja się nie liczę, właściwie nie jest ważne co ja sobie myślę, czego pragnę, co mógłbym zrobić, gdybym mógł, gdyby mi ONI pozwolili, gdyby istniała możliwość swobodnego działania". Właściwie i to, że "człowiek się nie liczy" również nie jest ważne, nie jest ważny nawet obraz mojego ja w oczach drugiego - gdyż decyduje co innego: decyduje siła przede wszystkim.

Ale... Owej sile przeciwstawia się w pewnym sensie pieniądź: okazało się, że przeciwnik, a więc władza, Partia-Państwo, a więc owi ONI - liczą się z pieniędzmi.

Widzę to nieco inaczej niż doc. Marody aczkolwiek tezę o spieniężeniu świadomości uważam za trafny opis treści i pewnej struktury myślenia, a zatem i pewnego sposobu zachowania się ludzi obecnie.

Rozgrywka o pieniądź ma dwa zasadnicze aspekty: po pierwsze na poziomie symbolicznym, związanym z ideałami władzy oraz po drugie - wyraźnie polityczne podporządkowanie celom finansowym. Rozmaite gesty i liberalizacyjne posunięcia władzy po zniesieniu stanu wojennego - były powszechnie interpretowane przez ludzi jako "zagrywki" w celu uzyskania od Zachodnich partnerów nowych kredytów bądź też ulg finansowych.

Myślę, że potwierdzeniem tego potocznego doświadczenia jest wyraźnie określona polityka represyjna - przejście od ostrej represji do bardzo dojmującej represji finansowej.

Rozgrywka o pieniądź jest zatem z jednej strony rozgrywką o to, na co można sobie bezpiecznie pozwolić, z drugiej zaś walczy się o ów pieniądź z przeciwnikami. Ponieważ ONI się z nim liczą, pieniądź staje się jak gdyby atutem w rozgrywce psychologicznej i życiowej z władzą, z ideą przemocy, która nota bene liczy się z tymi, którzy pieniądze mają.

Zwróćmy uwagę na następującą dwuznaczność: można powiedzieć, że stan posiadania pozwala na wywalczenie pewnych pól swobody, zwiększa możliwość przetargu z władzą, z instytucjami przemocy, chroni jak gdyby przed bezpośrednim naciskiem, ingerencją w sferę prywatności, chroni wreszcie przed bezpośrednią represją ze strony Partii - Państwa. Lecz wiąże się z tym zarazem postawa "podwójnej korupcyjności". Rozumien to jako rozgrywkę w przestrzeni korupcyjnej, spekulacyjnej - a dotyczy to w znacznym stopniu tzw. inicjatywy prywatnej. Sądzę - choć mogę się mylić - że większość zysków osiąganych jest drogą zabiegów korupcyjnych, spekulacyjnych. W każdym bądź razie nie można sobie wyobrazić dobrze prosperującego przedsiębiorstwa - bez finansowego i psychologicznego skorumpowania części aparatu administracji państwowej. Osiąganie zysków nie jest możliwe bez wejścia w tzw. "układy" z aparatem władzy, instytucjami państwowymi - jest to zatem pewna psychologiczna koncesja na rzecz przeciwnika, z którym toczy się walkę o pieniądź. Myślę, że spieniężenie świadomości ma niewątpliwie i taki wymiar.

Miejscem toczącej się walki o pieniądź jest przestrzeń o wyraźnie politycznie zarysowanym podziale - na świat społeczny i świat państwowy. Owa korupcyjna konieczność współpracy z kimś narusza zasadniczo stan niemalże symbolicznego oddzielenia tego co autentycznie "nasze" od sfery kontrolowanej przez nich. Wspomnieć przy tym należy już wcześniej przytoczoną kategorię negatywizmu, na którą składa się negacja właściwie wszelkich sfer działania społecznego, a zwłaszcza podlegających instytucjonalizacji - negacja na skalę, która do tej pory nie miała miejsca.

Chciałbym wskazać na dwie takie sfery, które szczególnie dobitnie ów negatywizm potwierdzają. Myślę o szkolnictwie i służbie zdrowia. Otóż zarówno szkoła - w większości przez samych nauczycieli jak i przez ogół społeczeństwa - oraz służba zdrowia są postrzegane jako działalność, która jest jak gdyby państwową działalnością, w ramach której niemcżliwe jest zrobienie tego i tak jak by się chciało. Lekarze tracą ozy też nie biorą odpowiedzialności za spełnianie swoich ról, ponieważ działają jak gdyby w nienormalnym układzie. "Służba zdrowia jest nie nasza tylko ich, jest źle zorganizowana, niedoinwestowana - w związku z tym nie można dobrze leczyć."

Ale... niewzięcie odpowiedzialności za swoją rolę oznacza przecież osypywanie się struktury społecznej coraz bardziej, co prowadzi z kolei do sytuacji kiedy odmowa użyczenia w instytucjach państwowych, we wszelkich formach instytucjonalizowanej działalności podlegającej kontroli Partii - Państwa - jest zarazem odmową kooperacji z konkretnym drugim człowiekiem. Uzasadnienie takiej decyzji już znamy: "człowiek się nie liczy, ja się nie liczę, wobec tego nie ma co się liczyć z tym drugim, który pomocy potrzebuje".

Ponieważ wszelkie instytucje i wszelkie utrwalone formy działania społecznego - a zatem wszelkie struktury ról społecznych - są jak gdyby nieważne /lata 1982-84 były wyraźnym protestem, kontestacją struktur instytucjonalnych/, skutkiem pełnienia ról w "nie swoim" układzie jest pogłębiająca się anomia społeczna, atomizacja społeczna, rozpad wszelkich ról i wzajemnych zobowiązań, samodestrukcja i samodegradacja wreszcie.

Mówiłem przed chwilą o szkole i medycynie, gdyż jak sądzę - zmiany zachodzące w tych dziedzinach są szczególnie groźne dla życia społecznego, a jednocześnie stanowią spektakularne przykłady na opisanie postawy, na której wskazaniu szczególnie mi zależy. Wydawało mi się, że rola społeczna lekarza, pielęgniarki, czy w ogóle kogoś ze służby zdrowia, jest tak precyzyjnie zdefiniowana, że ingerencja czynnika instytucjonalno-politycznego nie powinna zakłócać podstawowej idei pomagania drugiemu człowiekowi, działania na jego korzyść.

To samo dotyczy nauczania... Jeżeli w tej chwili ma miejsce wycofanie się, negatywna definicja sytuacji - oznacza to coś bardzo groźnego, że następuje zanik wartości relacji między mną a drugim. Jest to sytuacja, kiedy ów negatywizm przybierając aktywną postać włącza mechanizm samodestrukcyjny. Prowadzi to oczywiście do prywatyzacji myślenia o świecie, załamania się poczucia sensu pracy - oraz generalnie - ethosu jakiejkolwiek pracy. Obecnie mamy w Polsce do czynienia z sytuacją - już nie tyle załamania się wartości pracy umysłowej /instytucjonalne zabiegi nad zdewaluowaniem wartości pracy umysłowej są zabiegami bardzo dawnymi - szczególnie systematycznie czyniono to w epoce gierkowskiej/ - ile ze spontanicznym, totalnym załamaniem się ethosu jakiejkolwiek pracy. Co więcej, dotyczy to również działalności prywatnej. W chwili obecnej ethos pracy jest w takim zaniku, że właściwie sfera działalności prywatnej podlega dokładnie takim samym dewaluacyjnym mechanizmom jak praca w instytucjach państwowych.

Jakie są tego konsekwencje?

Podstawową konsekwencję widziałbym w rozwoju postawy, którą nazywam cyniczno-korupcyjną. Wiąże się z nią spienienie świadomości społecznej ale zarazem przypisałbym tej postawie poczucie zagrożenia, konieczność szybkiego działania pozbawionego jakichkolwiek reguł a ukierunkowanego na możliwie "największe pieniądze" - zwłaszcza gdy sytuacja jest wyjątkowo niestabilna a własność nieustannie zagrożona. Skutkiem tej postawy jest rozpad wszelkich form życia. Szczególny nacisk położyłbym na instrumentalizację więzi społecznej i na instrumentalizację wartości. M. Marody uważa, iż tym elementem towarzyszy szereg innych ujemnych zjawisk społecznych: pogłębiająca się deprecjacja pracy umysłowej, narastanie postaw roszczeniowych związanych ze spienieniem świadomości społecznej, przemiany w systemach wartości, ocen i stosunków międzyлюдzkich, postępująca prywatyzacja zainteresowań oraz uwiad szerszej refleksji społecznej.

W odróżnieniu od doc. Marody mówiącej o negatywnym moralnym w odniesieniu do świadomości społecznej, owej dominującej figurze świadomości społecznej przypisałbym nie tyle postawę negatywnego moralnego ile właśnie postawę instrumentalizacji wartości - gdyż relatywizm moralny nie zakłada konieczności instrumentalnego traktowania wszelkich wartości /tzn. dobre jest to, co mi przynosi natychmiastowy zysk w danej sytuacji; złe jest to, co nie służy bezpośrednio bieżącym interesom/. Otóż relatywizm moralny może zakładać istnienie różnych systemów wartościowania odnoszących się do różnych sytuacji - natomiast gdy człowiek znajduje się w konkretnej sytuacji - wówczas powinien konsekwentnie danemu systemowi podlegać. Otóż według mnie chodzi tutaj o coś innego - o podporządkowanie wszelkich wartości aktualnej sytu-

acji. Instrumentalizacja wartości jest szczególnie godna podkreślenia, ponieważ jest jednym z elementów przemiany całej perspektywy doświadczania siebie i świata! przez ludzi w Polsce. Ten właśnie aspekt etyczny byłby skłonny uznać za jeden z fundamentów świadomości obywatelskiej, której wyrazem był ruch "Solidarności". Klęska tamtej perspektywy owocuje dziś swoim dokładnie przeciwnym biegunem.

Gdy spojrzymy na czas, który nas dzieli od grudnia 81 roku bardzo wyraźnie widać cezurę, która przenosiła świadomość społeczną, cezurę zakładania się świadomości obywatelskiej i przekształcenie jej w świadomość cyniczną - korporacyjną lub też cierpiętniczo-mesjanistyczną. Tę drugą można też nazwać postawą cierpiętniczo-autorytarną, ponieważ jednym ze sposobów wybrnięcia z dylematów jest przyjęcie postawy autorytarnej, osiągnięcie pozycji dominacji bez względu na cokolwiek - co staje się sposobem regulacji większości zachowań i wzajemnych odniesień między ludźmi.

Momentem przekształcenia było wydarzenie polityczne /choć nie tylko polityczne/ - Zabójstwo księdza Popiełuszki. Był to także moment definitywnego zakładania się ruchu "Solidarności". Daży o sobie wówczas znać skutki całkowicie bezsensownej idei tzw. społeczeństwa podziemnego. Przegrana "Solidarności" polegała na tym, że mimo bardzo wyraźnych i bardzo sprecyzowanych oczekiwań społecznych stwarzających konieczność powstania jednoznacznej reprezentacji społeczeństwa przeciwstawionego władzy - nikogo nie było stać na wykonanie takiego manewru, którego nota bene władza niesamowicie się lękała i dołożyła wszelkich starań by ową "wpadkę przy pracy" zdyskontować maksymalnie pozytywnie na swoją rzecz.

Okazało się, że oczekiwania społeczne nie mogą być spełnione. Nadzieje zostały pogrzebane - Ży zwyciężył; przestrzeń doczesności okazała się miejscem kontrolowanym przez Zło.

Stan świadomości potocznej wiąże się z pewnego typu doświadczeniem i postawą religijną, gdyż zwycięstwo złego, czy też wręcz zwycięstwo diabła w przestrzeni doczesnego życia zawiera w sobie pewien element religijny, bardzo szczególnie formę czy też postawę religijności. To, co wytycza w tejże świadomości sferę symbolicznej kompensacji nazwałbyśmy bastionem religijno-narodowym. Jak to rozumiem? Przeważnie nieświadomiany zanik wzorców moralnych wymaga zastąpienia ich czymś innym. Odbywa się to na płaszczyźnie kościelno-narodowej czy też religijno-narodowej. Wiąza się z tym przedziwne sposoby zachowań, najrozmaitsze sposoby uzasadniania własnego postępowania - wygląda to trochę tak, że wszyscy stają się moralni w niedzielę, a to, co się dzieje między jedną niedzielą a drugą jest właściwie nieważne. Jeżeli na się żonę, dzieci i jeżeli dba się o dom - to już nie jest ważne co się poza tym robi - gdyż jak wiadomo - sfera życia codziennego jest przez Złego oparowana... Ow bastion religijno-narodowy jawi się zatem jako źródło i ostoja wyższych wartości narodowo-patriotyczno-religijnych. Towarzyszy temu oczywiście niesłychana "biologizacja" religii.

W jaki sposób można wybrnąć z dylematu nieuczciwości codziennej i odświętnego identyfikowania się z narodowo-religijnym symbolem? Świadomość potoczna wypracowała w ciągu minionego okresu drogę moralistyczno-punitywną, polegającą na tropieniu zła, niemoralnego zachowania innych. Owa skłonność do punitywności, karania - dała szczególnie o sobie znać przy okazji problemu kary śmierci. Wyniki były bardzo spektakularne: 90% ludzi jest za utrzymaniem tego najwyższego wymiaru kary. Myślę, że w tej chwili wszelkie pytania szerszej opinii publicznej o karanie kogoś, potępienia czegoś złego dawać będzie podobne wyniki - bowiem każda możliwość ukarania kogoś innego jest zarazem możliwością wykazania się własną "lepszością", posiada-

niem świadomości tego co dobre i tego co złe. To zresztą m.in. jest powodem mojej niezgody na twierdzenie o relatywizacji wartości; wartości pozostają absolutne, są wręcz transcendentnie pojmowane - a problem ich niestosowania ma zupełnie inne uzasadnienie.

Z tego co dotychczas powiedziałam wynika pewien określony obraz człowieka, obraz osobowości i związanych z nią form więzi międzyludzkich. Sądzę, że dsje się on sformułował jedynie w kategoriach psychopatologii - jest opisem osobowości neurotycznej, u której podstawową strukturą decydującą o stosunku "ja" do innych i do całego świata - jest struktura obronna, defensywna, w której lęk i jego pokonywanie mają zasadnicze znaczenie. Człowiek jest tutaj zawsze usprawiedliwiony, gdyż ONI są wszystkiemu winni, wszystko kontroluje; jesteśmy bezsilni wobec ich siły - zatem możliwość odreagowania własnego lęku, jak również nieustannego poczucia winy znajduje ujście w karaniu innych, wykazywaniu się własną moralnością. Owa neurotyczna świadomość jest przede wszystkim świadomością urazową, obronną, związaną z postrzeganiem innych jako zagrożenia, instrumentalizacją więzi społecznych, położeniem akcentu na abstrakcyjne normy moralne. Opis osobowości neurotycznej dokonany przez Karen Horney pasuje mi najbardziej do tego, co jest w tej chwili n o r m ą zachowania i przeżywania świata w Polsce. Elementem charakteryzującym osobowość neurotyczną jest obok dążenia do specyficznej - neurotycznej miłości, która opiera się na potrzebie bezpieczeństwa, obok bezwzględnego dążenia do sukcesu - dążenie do pieczętywania siebie jako sposobu ratowania pozytywnego obrazu siebie. Potoczne zachowania charakterystyczne dla tego typu osobowości mającej potwierdzić własną wartość skłaniają do działania w dość szczególny sposób, zwłaszcza w sferze działań celowych. Przedmiotem zabiegów nie jest cel rzeczowy - jest on jedynie środkiem do dobrej autoprezentacji. W kooperacji czy też w konkurencji z innymi nieważne są kryteria, według których się działa - najistotniejsza jest neurotyczna potrzeba dominacji, bycia górą na drugim, neurotyczna konieczność potwierdzenia samego siebie. Towarzyszy temu rzecz jasna wspomniana wcześniej instrumentalizacja więzi międzyludzkich prowadząca do dalszego rozchwania norm życia codziennego, wycofanie a zarazem wzrost osamotnienia, wzrost atomizacji społecznej, prywatyzacja oraz zamykanie się w małych grupach, z których jak gdyby wycieka poczucie wspólnoty. Wycofanie się z poczucia przeżywania wspólnoty zdaje się być jednym z podstawowych skutków tego procesu - inni po prostu przeskadzają bądź są jedynie przedmiotem manipulacji...

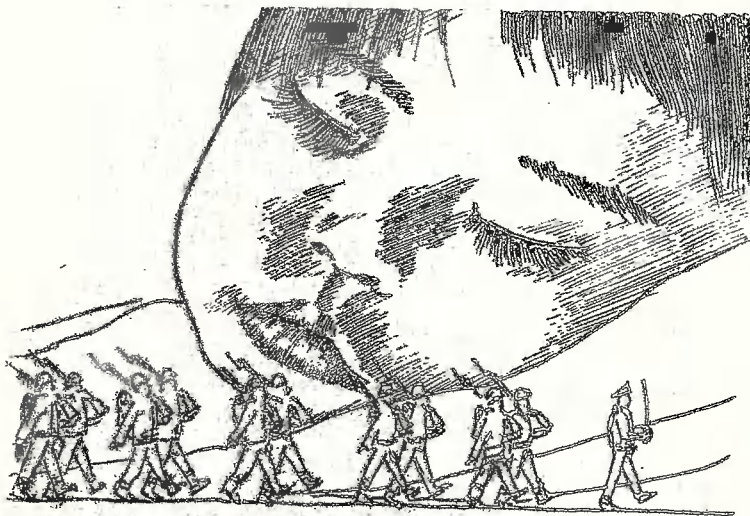
Zadaje sobie pytanie: jak to się właściwie stało, jak to było możliwe, że owa obywatelska świadomość, poczucie więzi, odczucie wygranej mimo przegranej - tak charakterystyczne dla bardzo szerokiego kręgu społecznego jeszcze w roku 1982 czy 1983 - przekształciło się w coś tak dokładnie odwrotnego?

Chciałbym tutaj powiedzieć o czymś takim, co prywatnie nazywam "ideologią babstwa": "świadomość obywatelska, świadomość wspólnoty - zostały zwyciężone przez "babstwo"! Rzeczono "babstwo" polega na przyjęciu założenia, że "życie jest najwyższą wartością". Przekładając to na formułę myślenia potocznego otrzymujemy takie oto pytanie: "Co, chcesz żeby znova była wojna?". W roku 1982 był to argument przetargowy, który ze względu na charakterystyczną dla społeczeństwa polskiego dominującą pozycję Matki-Polki osiągnięcie "babstwa" szczególnie ułatwił. /Zresztą kard. Glemp 13 grudnia powiedział również, że życie jest najwyższą wartością - oo z kolei pan Niewski w swojej najnowszej książce stara się uzasadnić teologicznie... Ja nie wiem jak to można uzasadnić teologicznie, mówiąc takie rzeczy pod figurą Ukrzyżowanego.../

Wydaje się, że przyjęcie właśnie perspektywy, że życie jest najwyższą wartością i w związku z tym musimy się pogodzić z faktem, że IM nie damy

radę - jest podstawową przyczyną, która spowodowała przekształcenie się świadomości obywatelskiej w radykalne jej przeciwieństwo: Mamy tu również do czynienia z zanikiem idei walki, walki o swoje prawa, bez której nie można wyobrazić sobie jakiegokolwiek koncepcji działania społecznego. Walka oczywiście nie oznacza koniecznie strzelania do przeciwnika czy też tzw. "pokojowych manifestacji", kończących się wzajemną bijatyką... Walkę rozumien m. in. jako zobowiązanie do działania zgodne ze swoją deklaracją, publicznie przedstawioną identyfikacją samego siebie; walka to niezgoda na status quo narzucone przez uwojskowaną Partię Państwo. Walka to dla mnie konstruowanie czegoś wbrew ICH sile. Myślę, że właśnie ruch "Solidarności" oparty był na idei konstruowania mimo przeszłość władzy, omijania także owej psychicznej przeszkody. Walka - to było w 1980 roku wzięcie odpowiedzialności za swój los, za los bliskich, za kraj. Później "niewalczenie", idea "babstwa" zwyciężyły.

Dokonany tutaj opis świadomości - jak sądzę - pozwala zrozumieć zarówno zanik aspiracji, zanik dynamizmu życiowego, załamanie się programu walki na co dzień. Jest on, jak państwo zauważyli, dość specyficzny i z całą pewnością nie wyczerpuje całego spectrum doświadczenia społecznego, choć byłbym skłonny uznać go za odnoszący się do dominującej części społeczeństwa. Twierdzą też, że struktury, które chciałem ujawnić nie mogą być wprost uświadamiane przez ludzi, gdyż nie mogą oni sobie uświadomić własnego leku.



Jacek Zamorski

Życ w zakamarkach

Wystarczająco długo zastanawiałem się nad wybraniem określonego systemu porządkującego moją wypowiedź - rozważając po drodze najrozmaitsze literackie, socjologiczne, psychologiczne "opcje" - by w końcu, niczego specjalnie nie systematyzując, przedstawić prywatny punkt widzenia noszący niestety wszelkie cechy niczym nieuprawnionej generalizacji.

Problem, nad którym pragnę się chwilę zastanowić, dotyczy wizji świadomości społecznej zaprezentowanej przez doktora Ireneusza Krzemieńskiego. Nie jest moim zamiarem jednak, polemika czy też falsyfikacja postawionych tez - z którymi ewentualny czytelnik miał okazję zapoznać się na stronach wcześniejszych - lecz jedynie pogłębienie owej pesymistycznej wizji świadomości naszego społeczeństwa o elementy moim zdaniem istotne.

Odnoszę wrażenie, że mówiąc o świadomości społecznej, o sposobie interpretowania przez nas świata - powinniśmy przede wszystkim zastanowić się, dlaczego nasze struktury myślenia, postawy wyglądają mniej więcej tak jak to ukazał dr Krzemieński. Zostaliśmy zapoznani niejako z wierzchołkiem góry lodowej, z tym co jest bardziej zauważalne, lepiej poddające się opisowi - warto jednak spróbować opisać także i to, co znajduje się pod powierzchnią, to co warunkuje kształt naszych zewnętrznych zachowań.

Pewnym wyjaśnieniem być może będzie przyjrzenie się świadomości indywidualnej, ukazanie jej zróżnicowania, aspektów odnoszących się bezpośrednio do ludzkiego "ja" oraz aspektów zewnętrznych. Wydaje się, że właśnie na poziomie indywidualności dokonane zostało katastrofalne spustoszenie, skutkiem owych zniszczeń są struktury interpretowania siebie i świata, cyniczno-korupcyjne postawy, merkantylne nastawienia... Na dobrą sprawę ożkówiek sam siebie - przy wydańczej pomocy "systemu" - doprowadził do sytuacji, którą określiłbym jako życie w zakamarkach. Jest to, jak sądzę, opis zarówno spustoszonego ludzkiego "ja", jak i codziennej, zewnętrznej egzystencji.

Świadomość człowieka daje się częściowo charakteryzować przy użyciu określonych cech - skończoności, możliwości działania, wyboru, alienacji.

Uzmysłowienie sobie, że nasza świadomość jest czymś skończonym, ograniczonym i niepełnym, że wszystko co robimy i czego doświadczamy jest względne, iż nasze poznanie jest niewystarczające by dzięki niemu osiągnąć zamierzone rezultaty - wszystkie te elementy powodują ciągły niepokój egzystencjalny, lęk przed losem i śmiercią. Dopiero na taką samoświadomość nakłada się negatywny i wtórny wpływ świata zewnętrznego - potęgując przeżywanie zagrożenia.

Druga cecha naszej świadomości - możliwość działania - związana jest z ponoszeniem określonej odpowiedzialności za podejmowane /lub też

nie podejmowane/ poczynania. Efekty naszych działań - narażał nas mogą na rozmaite ostracyzmy ze strony zarówno drugiego człowieka jak też określonej grupy, klasy czy też całego społeczeństwa - co z kolei wywołuje w nas poczucie winy, obawę przed negatywną oceną. Bugental ujmując winę jako świadomość mówiąca nam, że podejmowane przez nas działania nie wyrażają w pełni naszego istnienia - jest to tzw. wina egzystencjalna, zawierająca w sobie przekonanie, że czujemy się za to co robimy odpowiedzialni./1/

Lecz winę możemy odczuwać także bardziej boleśnie, na przykład jako efekt błędu w działaniu, które przyniosło negatywne skutki dla nas samych lub dla innych.

Na gruncie etyki winę ujmuje się przede wszystkim jako winę wobec drugiego człowieka, jako "wytracenie" drugiego z jego osobowego stawania się, uniemożliwienie - "by być"; poczucie winy może zrodzić się w nas gdy w kimś innym nie zauważymy człowieka. W tym ujęciu - odczuwanie winy - jest zarazem odczuwaniem wartości, jest jak gdyby negacją wyrzuczonego zła, jest pewnym zadośćuczynieniem.../2/

Naturalnie, określonych działań podejmować nie musimy - wówczas poczucie winy, lęku zostanie zredukowane. Pojawić się jednak może myśl równie stresująca, wywołująca lęk i obawę, niszcząca świeżo nabyty komfort psychiczny: - czy przypadkiem nasze "niedziałanie" nie przyniesie również negatywnych skutków co określone działania? Zarysowała się tutaj trzecia cecha naszej świadomości - możliwość wyboru.

W kategoriach socjospołecznych mówi się o rezygnacji z walki, zaniku idei walki o swoją egzystencję, o samego siebie, o wartości. Nieco innym sposobem ujmowania problemu jest wprowadzenie pojęcia - "wycofania się", "zamknięcia się w sobie", "niezdolności nawiązywania znaczących kontaktów społecznych". Zaznaczyć warto, że powyższe pojęcia charakterystyczne są dla... schizofrenii. Myślę, że pod koniec lat osiemdziesiątych mamy właśnie do czynienia ze stanem, który nazwać można schizofrenią społeczną, czy może trafniej to określając "defektem schizofrenicznym", z sytuacją totalnego wycofania się nie tylko ze wszystkich dziedzin życia, lecz również z dostrzegania pewnych wartości, zasad etycznych - a dotyczy to zarówno pojedynczego człowieka, jak też zbiorowości./3/

Jeszcze inaczej widzi problem Laing w rewelacyjnym szkicu pt. "Mistyfikacja przeżyć". Twierdzi on wręcz, że schizofrenię możemy traktować jako udaną próbę nieprzystosowania do pseudospołecznej rzeczywistości lub jako nieumiejętność przystosowania się do świata, który oszalał./4/

Wracając do problemu wyboru chciałbym dodać, że w moim przekonaniu obok zaniku idei walki o własne "ja", mamy obecnie, w dobie dewastacji świata wewnętrznego, do czynienia z problemem rezygnacji, wycofania się z możliwości wyboru. Wiąże się to zapewne z faktem, iż każdy dokonywany wybór jest tak wysoce ambiwalentny i frustrujący, związany z określonymi "psychicznymi koncesjami na rzecz przeciwnika", że dominująca postawa wycofania się, schowania w zakamarki - odczuwana jest jako wybór mniejszego zła... Czy nie doprowadzi to nas jednak do ostatecznej rezygnacji - rezygnacji z resztek prawdziwej osobowości?

Dysponujemy zatem nie tylko możliwością działania instynktownego lecz także - a może raczej przede wszystkim - możliwością świadomego wyboru nie tylko form działania, również możliwością wyboru określonych skutków, zagrożeń, represji - a zatem także poczucia winy, lęku.

Naszemu subiektywnym doświadczeniem na płaszczyźnie wyboru jest poczucie autonomii - ograniczonej jednak, szukającej potwierdzenia samej siebie od zewnątrz, ze strony drugiego. Obecnie mamy niestety często do czynienia z niepotwierdzeniem, czy wręcz negowaniem autonomii człowieka - ze strony innych ludzi, społeczeństwa, także ze strony człowieka pragnącego własną autonomię potwierdzić. Nie tylko zatem instytucje zewnętrzne, INNI są w stanie sprowadzić na człowieka groźbę utraty sensu działania, życia.

Podkreślenia pojęcia INNI ma przynajmniej trzy znaczenia. Po pierwsze chciałbym zestawić to pojęcie z kategorią ONI, występująca w opisie treści myślenia potocznego - zawierająca według mojej oceny sąd negatywny. Po drugie - pojęcie INNI opiera się na założeniu posiadania poczucia odrębności człowieka od INNYCH - przy jednoczesnym powiązaniu z innymi ludźmi, poczuciem, że jest się częścią ludzkości. Trafniej to określając, możemy mówić o naszej nietożsamości z kimkolwiek - nietożsame są nasze myśli, uczucia, działania. Bugental posługuje się pojęciem "od-osob-nienia" to jest doświadczenia, zdrwania sobie sprawy z podobieństw, a zarazem różnic między nami a innymi.

Po trzecie - należy zadać sobie pytanie: czy jednak jesteśmy w pełni świadomi granicy między NAMI a INNymi, czy zastanawiamy się nad tym, co z innymi mamy wspólnego? Czy przypadkiem nie żyjemy w świecie wymiennych, jednoznacznych tożsamości, pragnień, lęków, nadziei i rozczarowań.

Wracając do kategorii ONI /o negatywnym zabarwieniu/ spytać należy: jak wiele ONYCH jest w nas samych, czy przypadkiem traktowanie pojęcia ONI, jako całkowicie zewnętrznego, odnoszącego się do kogoś nie mającego nic wspólnego z naszym własnym "ja" - jest zasadne? Czy nie jest tak, że człowiek zniszczył samego siebie w tym stopniu, w jakim dopuścił do rozkwitu niewoli niesionej przez rzekomych ONYCH?

Moja odpowiedź ma charakter "magicznej" formuły: ONI - to tak naprawdę MY, tylko wyparci, wyrzuceni z naszej świadomości, to emanacje złych cech nas samych. Myślę, że mamy tutaj do czynienia z akademickim niemalże przykładem projekcji, rzutowania własnych cech negatywnych na INNYCH, którzy po takim zabiegu przekształcają się w złych ONYCH ! Z naszych kontaktów z INNymi czerpiemy jednak głęboką satysfakcję polegającą z jednej strony na zaznaczeniu naszej inności wobec drugiego człowieka, z drugiej zaś, na podkreśleniu odrębności innych wobec nas. Być może jest w tym odrobina radości, że INNI są naprawdę INNI, że INNI to nie my. Jest to również dla nas źródło nieustannej frustracji wynikającej z uwięzienia w granicach naszej indywidualności. "Z doświadczeń tych wypływa poczucie samotności, która nas ani na chwilę nie opuszcza, a ostateczną groźbą jest absolutne osamotnienie. Dzień po dniu poznajemy naszą ograniczoną świadomość i nasze w niej uwięzienie, podczas gdy wszyscy otaczający nas ludzie pozostają - każdy we własnym świecie. Budujemy pomosty żeby połączyć te światy, ale zawsze w sposób niedoskonały. W rezultacie lęk przed absolutnym osamotnieniem jest przerażający i niekłamany." /5/

Równie pesymistycznie widzi to Laing.

"Inni znaleźli miejsce w naszych sercach i nazywamy ich sobą. Nikt nie będąc sobą ani dla siebie, ani dla innych, tak jak inni nie są sobą ani dla siebie, ani dla nas, będąc kimś jeszcze innym dla kogoś jeszcze innego, nie rozpoznaje siebie w innych ani innych w sobie. Nic więc dziw-

nego, że współczesny człowiek, będąc przynajmniej p o d w ó j z ą n i e o b e c n o ś c i ą , nawiedzony przez ducha własnego zamordowanego "ja", odczuwa głód kontaktu z ludźmi, a im bardziej go odczuwa, tym mniej jest zaspokojony, tym bardziej samotny." /6/
Jak zatem widzimy, obecność drugiego człowieka, INNYCH, także ONYCH, społeczeństwa /niektórzy mówią: skomunikowanego społeczeństwa - a tak naprawdę dotyczy to wyłącznie nas samych/ uzurpatorskiej władzy, jest nam niezwykle potrzebna. Wszyscy ci ludzie przynajmniej z dwóch powodów są nam niezbędni:

1. w znaczeniu pozytywnym - nasza osobowość konstrybuje się w bezpośredniej więzi z drugim człowiekiem, z innymi ludźmi; potrzebujemy innych by być sobą, by siebie wobec innych zrealizować, spełnić.
2. w znaczeniu negatywnym - totalitarne społeczeństwo, władza, ONI potrzebni są nam między innymi po to by przypisać im najgorsze, własne cechy, fobie, by czuć się jedynymi sprawiedliwymi, mądrymi, lojalnymi wobec zasad i wartości.

Zarówno INNI jak i ONI są nam niezbędni by odczuwać wyobcowanie, odziedzenie, alienację - o odpowiednio: negatywnej lub pozytywnej wartości.

Spytać by w tym momencie można, dlaczego z taką powagą i zdecydowaniem sadzę te kwadratowe jaja, dawno już - i w mniejszych bólach zniesione?

Otóż, między innymi dlatego, że opis - "socjologiczny" - rzeczywistości w Polsce, ludzkich postaw, potocznego myślenia, jest - przynajmniej dla mnie - opisem niewystarczającym, wtórnym, ślizgającym się po powierzchni. Moje natrętne i nieudolne "psychologizowanie" miało na celu sprowadzenie zagadnienia na płaszczyznę pierwotną, podstawową, mówiącą cokolwiek o człowieku przede wszystkim. Takie problemy jak socjalizacja, indoktrynacja, wzbudzenie fałszywego poczucia bezpieczeństwa, likwidacja wartości transcendentnych, kreowanie jednowymiarowego, pełnego respektu, konformizmu i posłuszeństwa człowieka - dają się przede wszystkim zrozumieć i opisać w wymiarze podstawowym, psychologicznym, ludzkim. Rozpatrując rzecz na tej płaszczyźnie można dostrzec absurdalność pozycji pojedynczego człowieka zarówno wobec jego własnych - izolacyjnych mechanizmów obronnych jak też wobec systemu. Sprowadza się to do tego, że cokolwiek by uczynił bądźis to budowało negowaną przez niego rzeczywistość. Psychiczny mechanizm, polegający na przypisywaniu INNYM /społeczeństwu, systemowi/ wszelkich złych cech i intencji prowadzi do zaniku gotowości do przyjęcia na siebie odpowiedzialności za cokolwiek /nawet za samego siebie/ - bo przecież całe zło winni popełniać ONI. Owocuje to wycofaniem się z podejmowania jakichkolwiek wysiłków, bądź obwinianiem za wszystko INNYCH lub przykładaniem różnych miar do oceny siebie i innych. Tak więc, w praktyce, zarówno wycofanie się z konstruktywnych działań, uprawianie relatywizmu moralnego, jak i podjęcie działań w świecie ONYCH musi konstrukcję tego świata wspierać, przy czym ocena ta wypada podobnie bez względu na to, czy będziemy jej dokonujący z pozycji subiektywnych czy obiektywnych.

Celowo swój wywód pozbawiłem konkretnych opisów określonych sytuacji, zachowań ludzi - przedstawiając tylko schematyczną konstrukcję, którą czytelnik łatwo może uzupełnić przykładami poczynań władz i opozycji, tłumów i elit...

Z detaliczniejszego mojego rozumowania wynikać powinno również

i to, że system, którym jesteśmy doświadczani doprowadził człowieka do bezsensownych zachowań, po to, by wymusić na nim świadomość, iż "bez-sens oznacza istnienie i, że lepiej istnieć w sposób bezsensowny niż nie istnieć wcale". Jest to w pewnym sensie uzupełnieniem tezy dr Krze-mińskiego o Zwycięstwie ideologii "babstwa" wyrażającej się w formule, że życie jest najwyższą wartością.

Jednakże zatracenie zmysłu moralnego, instrumentalne traktowanie wartości - nie jest to stan ostatecznej klęski. Drugi człowiek, społeczeństwo, państwo są w stanie odebrać nam sens życia, Zagrozić podsta-wom naszej egzystencji, zanegować sens naszej wolności. Jednak poprzez pozabawienie jakiegokolwiek wartości nie pozbawia się nas p r a w a do posiadania owej wartości. System jest tu jednak bezsilny... /7/

A ludzie żyjący w tym systemie sami wpędzają się w stan osta-tecznej niemożności, między innymi poprzez nieświadome stosowanie za-sady - że tak naprawdę, to nie istnieje nic, prócz tego, co zostało stworzone przez "alchemię systemu"; zatem i oni sami istnieją tylko o tyle, o ile stworzył ich system, na ile ów system pozwala im być. Tylko, obawiam się, że ów system - to ludzie, to my sami, z nieprawdo-podobnie intensywną, bezmyślną lojalnością wobec konwencji polityczno-systemowej, także określonej konwencji opozycyjności; lojalni tak bar-dzo wobec tego, co przynosi rzeczywistość - że staje się to naszą ide-ologią, ideologią lojalności. Pojęcie ideologii - zgodnie z określeniem Mannheim'a - odnosi się nie tylko do obrony czysto politycznych, ekonomicznych interesów, lecz w równym stopniu do obrony naszego widzenia i rozumienia istniejącej, de-gradującej nas rzeczywistości. /8/

Przypisy

1. J.F.T. Bugental, W poszukiwaniu autentyczności, w: Przełom w psycho-logii, Warszawa 1978, s.336
2. J. Tischner, Etyka wartości i nadziei, w: Wobec wartości, prac. zbior. Poznań 1984, ss.106-107, 112-113
3. T.J. Scheff, Schizofrenia jako ideologia, w: Przełom w psychologii, Warszawa 1978, ss.241-246
4. R.D. Laing, Mistyfikacja przeżyć, op. cit., s.168-169
5. J.F.T. Bugental, op. cit., s.339
6. R.D. Laing, op. cit., s.176
7. J. Tischner, op. cit., s.116
8. T.J. Scheff, op. cit., s.242-243

reportaże

Agencja Publicystyczno-Wydawnicza "MOS"

Maria Rawska

Wytrwać jak najdłużej

Sroda - 4 maja w Warszawie, wszystko toczy się normalnie: ludzie w autobusach jadą do pracy, patrzą nieruchomo przed siebie, już o 6-tej rano są zmęczeni. Ta kobieta z włosami zniszczonymi trwałą - farbowany kasztan i siwe odrosty - ciężko opada na wolne miejsce. Chłopak na peronie roznosi "Życie Warszawy" po 30 zł. Liczy - zostało jeszcze 9 - da się sprzedać.

Pociąg odjeżdża punktualnie. Redaktor Halina Bortnowska nie może znaleźć swoich współtowarzyszy podróży, zostawia na chwilę granatowy plecak w najbliższym przedziale, zamienia kilka zdań z konduktorem - może nie ma biletu - i rusza na poszukiwanie.

Po chwili wraca - znalazła. Zabiera plecak.

Trzech panów dyrektorów jedzie na konferencję. Są w świetnych mundurach. Z żony zawsze można się pośmiać - i z własnej, i z cudzej. Z Urbana też można się pośmiać. Czasami. Ale generalnie Urban panów dyrektorów brzydzi. Po co oni w ogóle go trzymają? Widzi pani, co on tu nagadał? Są też kanapki. I na herbatę do wagonu "Wars".

Słońce świeci, będzie ładna pogoda. Teraz więc mówią o wojażach. Pan dyrektor nie przywoził z czasów na Krymie złota - krzyżyk i obrączkę już ma, żonie tylko pierścione kupił. Kiedy człowiek w skórzanej kurtce też już ma obrączkę, krzyżyka chyba nie, a może chce mieć dwa. Więc przywozi złoto i inne rzeczy. W Soczi ma rodzinę. A na celników najlepsza jest szczerłość. I nie dać się prześwietlić, bo nie mają prawa.

Dojeżdżamy do stacji Kraków Główny - mówi głośnik.

X X X

Co robi Kraków? Kraków elegancki siedzi w kawiarniach albo zwiedza. Kraków mniej elegancki stoi w kolejkach. Zawsze jest wędzonka, można też trafić żółty ser. Studenci mają swoje sprawy.

O, ile ich jedzie. Chyba obstawiają Grodzką. Pewnie studenci znów coś robią - mówi jedna pani do drugiej pani. Kolejka do delikatesów na Rynku jest elegancka.

X X X

Przed wszystkim dużo dymu. Wielka kryształowa popielniczka peł-

na jest niedopałków. Na ścianach dużo obrazów - malarze kiepscy, ale mieli dobre zamiary i rozmach w pędzlu. Dzwoni telefon. Ludzie wchodzi i wychodzą.

- Teraz to już pójdzie, żeby tylko w Gdańsku wytrzymali, bo tu wytrzymają.

- O co chodzi z tymi ekspertami?

- "Strażacy" przyjechali.

- Co tam strażacy, jak las płonie.

Jarek ma specjalny zeszyt - notuje w nim wszystko, wszelkie wieści z Kombinatu, z miasta, z UW, z całej Polski. Potem się to uporządkuje. Jarek włącza magnetofon. Rozlega się głos pani Zeffii:

- W sobotę mąż nie wrócił z pracy. Ja upiekłam ciasto, bo tu u nas musi być ciasto w niedzielę. Jak ojciec nie wrócił, to synowie mówią: po co to ciasto, skoro tato nie wróci. Ja mówię, nie martwcie się, pół będzie dla taty, a pół dla was. A synowie mówią, że i tak nie wejdę za bramę. No to założyłam się z synem o 1000 zł - nie znasz możliwości swojej mamy - mówię. Więc wzięłam to ciasto, ładnie zapakowałam, zawiązałam biało-czerwone wstążki, bo te mogą im się przydać. Więc idę na bramę. Jak wychodziłam z tramwaju, to była 12-ta. Zawsze mówię o 12-tej Anioł Pański, więc teraz też odmówiłam i idę dalej. Patrzę, wszędzie zamknięte, nie mam nawet kogo zapytać o tę przepustkę, żeby mi wydali. Modłę się cały czas, a nogi i ręce to mi się tak trzęsą. Więc mówię: Mario, musisz mi pomóc, a potem "Pod Twoją Obronę". Idę przez bramę, patrzę, jeden się wychyla, to ja też się uśmiecham i przeschłam. Myślę, czy to sen, ale idę szybciej, żeby mnie nie zawołał i nie zapytał o przepustkę. Poszłam w stronę mechanicznego, byłam tam tylko raz, z tym zaświadczeniem o internowaniu. Doszłam.

Jak wracałam, to mnie taka radość ogarnęła. To kaska, że ja doszłam. I myślę sobie, że jak tam jest krzyk, to powinna być i Matka Boska. Następnego dnia byłam zajęta, jak to w domu, nie miałam czasu tym się zająć. W domu miałam taki jeden obrazek, ale był za malutki.

I mają nie miałam spokoju, ciągle mnie to dręczyło, że oni nie mają obrazu. W kościele byłam na Mszy, patrzę, a tu w kiosku przy kościele jest taki dobry obraz. Akurat miałam pieniądze, więc kupiłam.

To wzięliśmy ten obraz i idziemy pod Hutę. Obraz na przedzie bez haaseł. Tylko się modlimy i piękni Maryjnie śpiewamy, bo to maj. I tak do drugiego zatrzymania. Jak nas zatrzymali, to my się dalej modlimy: "Ojczyznno ma", potem dziesiątek Różańca, potem "Mario Matko ma" i znova dziesiątek i jeszcze jeden dziesiątek Różańca. Je nie wytrzymałam, bo jestem trochę nerwowa. Jak oni stali naprzeciwko, trzymając się za pęsy, to ja stanęłam tak z boku, patrzę na nich i mówię: jak was matka wozyła się modlić, wylicście ochrzczeni, to czego się nie modlicie? A oni tak stoja, patrzę, a jeden ma rzy w oczach. A inny to mówi do mnie: samskaj się. A ja mu na to: wiesz, w jakich warunkach oni pracują? Czemu nie poszali tam wojska odpracować, tylko tu stoja, taki z palną, przede mną. Ja mam synów, ale gdyby któryś taki był, to bym się zastanowiła, że ich tak wycho-

wałam.

I wtedy podchodzi taki starszy stopniem i mówi: - Rozjść się. Do kogo ty się tak modlicie? Zawróćcie do kościoła i tam się skończcie modlić.

A ja mówię: Za was się modlimy!- I dalej dziesiątek różańca. Za was i wasze matki, że was tak wychowały. I znów dziesiątek różańca. Trwało to tak 30-40 minut.

To potem oni mówią, żeby się rozejść. Jak my stoimy dalej, to któryś tam mówi, żeby zabrać wszystkich. Już wtedy był Andrzej Ruśk i on trzymał obraz, a potem ks. Jerzego i mówił: patrzcie, to wasza ofiara. Zaczęli brać wszystkich pod rękę i odprowadzać. Idę za nimi, a mnie nikt nie bierze i takiej drugiej pani też nie. Więc mówię do niej, że jak oni nas nie chcą, to idziemy. Moi synowie chodzili w pobliżu, że niby, jak mamę będą brać, to jej nie dadzą.

Wszystkich zaraz puścili, tylko Andrzej i Jacek byli dłużej, bo mieli obraz. Oni mówili, że myśmy zbezczeszcili obraz i dlatego nam go zabierają. Oddadzą go Kurii i tam możemy go sobie odebrać.

Nie wiedziałam, gdzie to trzeba, poszłam zapytać księdza, ale go nie było. A następnego dnia święto, oni tam w Hucie obrazu nie mają, tu Kuria zamknięta. Więc po Mszy poszłam prosić księdza, żeby się pomodlił, żeby Kuria otworzyła. A ksiądz mówi, że w nocy przyszło dwóch panów i przynieśli obraz. I powiedzieli nawet "niech będzie pochwalony". Może oni tylko w nocy tak mówią?

x x x

Święty Florian, to patron hutników. Ma swoje święto 4 maja. W kościoła na Szklanych Domach jest Msza. Szklane Domy to osiedle z czasów, gdy wydawało się, że wystarczy zadekretować świetlaną przyszłość. W owych czasach o Nowej Hucie śpiewano optymistyczne piosenki. Zdrowy trzon klasy robotniczej miał stanąć przeciwą dla konserwatywnego Krakowa. Kościół jest pełen, przed kościołem tłum gęstnieje. Jest ciepło, miły majowy wieczór. Poczet sztandarowy Huty przechodzi do kościoła. "W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Miłość Boga Ojca i miłość Pana naszego..." Nikt już nie patrzy na ulicę, po której przechodzą wzmocnione patroli milicyjne. Ksiądz wita przybyłe delegacje. Jest Anna Walentynowicz i stoczniovcy z Gdańska. Oklaski. Kilka innych zakładów z okolic Krakowa. Oklaski. Mała jest jednak ta solidarna Polska.

Obok kościoła, w małej sali, punkt pomocy dla strajkujących hutników. Skarbonka na datki pieniężne, kilka toreb z jedzeniem i papierosami. Zabiorą je ci, którzy idą na nocną zmianę.

x x x

"Życie Warszawy" z 6 maja 1988 roku:

"Rzecznik prasowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Polsce, Wojciech Garstka, poinformował PAP, że w nocy z 4 na 5 maja siły porządkowe weszły na teren Kombinatu Metalurgicznego w Nowej Hucie i wyprowadziły przebywających tam organizatorów nielegalnego strajku. Wśród nich było również kilka osób nie będących pracownikami huty. Nie stawiali żadnego oporu, a funkcjonariusze nie używali siły ani środków przymusu. Nikt nie odniósł najmniejszych obrażeń.

Przerwanie nielegalnych działań strajkowych na terenie huty trwało kilkadziesiąt minut. 38 osób zatrzymano i odprowadzono do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie.

Na terenie huty przebywał wraz ze strajkującymi ksiądz Tadeusz Załeski. Funkcjonariusze odprowadzili księdza do siedziby kurii metropolii-

talnej w Krakowie i przekazali księdzu kanclerzowi Bronisławowi Fidelusowi."

x x x

Pokój jest niewielki, urządzony jak miliony innych: regał na wysoki połysek, wersalka, dywan w jakimś kolorze. Andrzej Szewozwianiec, przewodniczący Komitetu Strajkowego HiL, siedzi przy stole. Nie wygląda na kogoś, kto nie spał już przez trzy noce, a kilkanaście godzin temu przeżył atak ZOMO na Kombinat.

Mieliśmy informacje z kilku źródeł, że może być interwencja. Ja od początku zmiany czułem, że coś się zdarzy. A można było wynegocjować porozumienie. Powstał już taki impas, że z dyrekcją nie mogliśmy siadać przy jednym stole. Ale po rozmowach ekspertów z Episkopatu pojawiła się szansa. Musiał być po prostu taki katalizator, który by nas pogodził. Jak eksperci przyszedli do nas po południu, chyba po 17-tej, to wiedzieli, pieniądze będą zaangażowane. A postulaty ogólnopolskie i dodatek drożyznianny to miał być zaangażowany na szczeblu komisji mieszanej. Gwarancje też były. Wieczorem, gdzieś koło 20-tej, zeszliśmy z profesorem /Stelmachowskim - przyp. M. R./ do telefonu do Hali Maszynowni. Profesor podjął rozmowę z dyrektorem, zawiadamiając go, że jest szansa rozmów, trzeba tylko ustalić gdzie, kiedy i w jakich składach. Ja wcześniej, jeszcze w rozmowach z KS chciałem, żeby to było jak najszybciej. Ale ludzie byli bardzo zmęczeni, odłożyliśmy to do rana. Te rozmowy miały być bez żadnych warunków wstępnych. Potem ja rozmawiałem z dyrektorem. Zapytał mnie, czy ma być sam. Powiedziałem, że tylko dyrektor i zastępca, bez neo-związków, bo to nie jest dla nas partner. Co do miejsca, to zaproponowałem świetlicę budynku administracji Walcowni Drobnej, bo dyrektor nie chciał żadnego nacisku w postaci obecności tłumu.

Gdzieś po 21-szej, w czasie posiedzenia KS, przyjął telefon w sprawie zmiany terminu rozmów. Ja nie rozmawiałem, dostałem tylko taką kartkę z informacją. Zaniepokoiło mnie to. Zadzwoniłem do dyrekcji - od tego pierwszego telefonu upłynęło może 10 minut - i zapytałem sekretarkę, czy była taka rozmowa. Ona mówi, że była, ale dyrektora nie ma! Był tylko zastępca. W takiej rozmowie, niby na luzie poinformował mnie, że godzinę rozmów ustala jutro o 7.45 i że nam to przekaże, bo oni mają bardzo dużo pracy. To mnie najbardziej zaniepokoiło. Jak przyszedła noc, to starałem się ludzi przygotować, rozmawiałem, pilnowałem, żeby nie kładli się spać. Mówiłem, żeby trzymać się razem, nie rozpraszać się. Wystawialiśmy czujki, ale zawalili sprawę od strony drutu. O godzinie 1-ej, już po wydaniu kolacji, kazałem kobietom pozamykać szafki i pomieszczenia. Wyzaczyłem elektryka, który pracował w Hali Maszyn i wyprowadziłem tam wszystkie kobiety. Hala Maszyn to jest takie miejsce, do którego nie może wejść nikt obcy, nawet ZOMO. I dlatego tam były kobiety. Komitet Strajkowy chyba trochę zlekceważył sytuację, poszli spać. Ja wiedziałem, że tego nie można przegapić, że z tych rozmów nic nie będzie. Po 1-szej zaczęły przejeżdżać pojedyncze samochody - myślałem, że chcą się rozeznaczyć. Było chyba tuż przed trzecią, patrzę, jadą trzy nyski i czerwony autobus. Powiedziałem: chłopaki, to ZOMO.

Wpadłem na świetlicę, zorganizowałem ucieczkę i wybiegliśmy. Mieliśmy ustalone, że gdyby coś się stało, to przebijamy się Halą Drutu i Taśmy, tam jest taka krzyżoweczka, możliwość rozproszenia się w ciemnościach, światła były wyłączone. Biegłem ostatni. Jak już czułem, że te petardy wybu-

chają mi na plecach, to schowałem się pod wagonem. Nie znaleźli mnie, rano byłem na tym wiecu, cały brudny, też mnie nie poznali" - śmieje się. - "A tę ranę" - pokazuje zabandażowaną dłoń - "to zaliczyłem, jak braniem płót. Wie pani, jak uciekaliśmy, to ja jeszcze zdążyłem wrócić po adidasy" - znów ten śmiech, w którym nie wiadomo jakim cudem słychać jeszcze nutę chłopięcej radości - "miałem odparzone stopy i chodziłem bosso. I dokumentację też zdążyliśmy schować, już wyszła z kombinatu."

Andrzej Szewczwianiec mówi wolno, zastanawia się, czasem ucieka mu myśl - to skutek wyczerpania. Uderza mnie jego głos, jego sposób mówienia. Ma głos aktora.

- "Zawsze grałem w jakichś teatrzykach" - ucieka myślami w bliżej nieokreśloną przeszłość - "zawsze miałem kontakt z publicznością".

"Obserwowałem ludzi i działałem na ich reakcjach. Oceniałem, czy można skończyć pół godziny wcześniej, czy też dać coś z siebie więcej. Maria Baka i Bierszanin byli moimi opiekunami, scenicznymi rodzicami. Bo moi prawdziwi rodzice uważali, że teatr demoralizuje człowieka, taki mieli światopogląd."

Pytam, jak to się stało, że jego życie tak się potoczyło.

- "Gdy chodziłem do szkoły, do ogólniaka, to uczył mnie historii taki historyk. Uczył nas historii prawdziwej. Wpisał w nas bakcył nadziei, dał nam możliwość określenia w sobie pojęcia wolności, ambicji w tym dobrym sensie. A reszta, to natura taka niespokojna. Gdybym się poderwał rok wcześniej, może wszystko byłoby inaczej. Porwał mnie młodzieńcza ciekawość i fakt dość przynębiający: miałem kolokwium i nie byłem przygotowany. Po drodze na uczelnię spotkałem kolegę. Pociągnął mnie za sobą, mówi, chodź, stoczniowcy robią porządek z komuną. I poszedłem. I powiem pani, że robiłem to samo co wszyscy: rzucałem kamieniami, przewracałem samochody, paliłem. Uległem zbiorowym emocjom. Widziałem siłę, jaka wywala się pod wpływem nienawiści do komunizmu i uległem tej sile. Myślałem, że byłem wtedy pełnym nienawiści fanatykiem. Pojęcie wolności tkwiło już we mnie, ale było to młodzieńcze, niewykształcone. Potem wyrzucili mnie ze studiów, z medycyny. Po prostu zgubiłem indeks w niewłaściwym miejscu. Ten indeks znaleziony niedaleko KW PZPR, po tym jak ludzie chcieli go podpalić, był koronnym dowodem. Poza tym łąpały mnie kamery. Nieśle musiałem wyglądać, skoro nawet na komisji wojskowej pytali mnie, skąd we mnie tyle nienawiści. Bo jak mnie zwolnili ze studiów, to dostałem od razu skierowanie na komisję. Ale do wojska nie poszedłem. Dali nakaz pracy w Hil. W czasie tych wydarzeń w 1970 roku pracowałem już jako student społecznie w pogotowiu. Jak mnie wyrzucili ze studiów, to i od razu karanie z pogotowia. A miesiąc później dostałem za tę pracę społeczną nagrodę od ministra - chyba z 1000 złotych.

- To chyba dlatego. Różnie mogło być. Mogłem robić zupełnie co innego, być też takim kolaborantem, co kolaboruje sam z sobą i z własnym sumieniem."

Głos ma zachrypnięty, bo noce były zimne, nie mieli tyle koców i śpiworów, wielu spało po prostu w ubraniach, gdzieś na ławkach, na podłodze. I przez te wszystkie dni ciągle mówił, rozmawiał z ludźmi, wyjaśniał, dodawał otuchy.

"W pewnym momencie był taki zanik optymizmu, ja wiedziałem, że trzeba iść na całego. Dyrektor chodził, nękał ludzi, straszył, wpływał na zbiorową psychikę - wielu zaczęło tracić wiarę w sukces. Ale udało się.

Ja ludziom mówiłem, że nie chodzi o pieniądze, bo w lipcu znów będą podwyżki i tak w kółko. Ciągłe powtarzaliśmy, że tu nie chodzi o pieniądze. Ja miałem jedną rzecz do zrobienia - tak wpłynąć na ludzi, tak z nimi rozmawiać, żeby cel sam się zrobił. Wiedziałem, że musimy wytrwać jak najdłużej, że musimy trwać. Ludzie się czasem załamywali, myśleli, jeżeli nie ma negocjacji, nikt nie przyjeżdża, to wszystko jest na darmo. A ja im tłumaczyłem, że jeżeli nie ma rozmów, to też się coś dzieje. Bo przecież oczekiwanie postępuje, jest mechanizmem. Ryby ciągle w tym samym miejscu, ale procesy dochodziły już do Warszawy. Zrobiła się z tego Wiosna Ludów. Mówiłem ludziom, że jeżeli wytrzymamy do 9 maja, to wtedy stanie cała huta i "Solidarność" będzie, że trzeba wytrwać, że najważniejszy jest czas.

Andrzej Szewczuwaniec ma 38 lat, żonę i dwoje dzieci. Obecnie się ukrywa.

X X X

Niewysoki mężczyzna, lekko przygarbiony. Ma 24 lata, od dwóch lat pracuje w Kombinacie. Pochodzi ze wsi. Mieszka w hotelu robotniczym. W nocy z 4 na 5 maja był na wydziale mechanicznym M-3:

- "Większość ludzi nie spała. Usłyszałem strzały, potem krzyki. Wpadli do środka wywalając drzwi. Mieli łomy, siekiery, krzyczeli, żeby nie uciekać, padać twarzą do ziemi. Tych co uciekali, to bili. Wszystkich wyłapali. W wypożyczalni narzędzi spały kobiety - powybijali tam wszystkie okna. Ja nie uciekałem. Potem weszli cywile, normalni /SB w roboczych kombinezonach - przyp. K. R./, tylko mieli na głowach wojskowe czapki. Pytali, kto będzie pracował.

W inne dni to byliśmy przygotowani, mieliśmy strażę, ale teraz się nie spodziewaliśmy, bo były te rozmowy.

Te postulaty są słuszne. No bo te zarobki są niskie. Już w budownictwie można więcej zarobić. Co to jest te 35-36 tys. razem z rekompensatą. Jak kalkulować te 35 tysięcy w swoje życie, gdy ma się 24 lata i hotel robotniczy zamiast domu?"

X X X

Piątek, wczesne popołudnie. Hutnicy zbierają się przy kościele na Szklanych Domach. Trudno przecież siedzieć w domu i zastanawiać się, ilu już podjęto pracę. Wówczas też samemu łatwiej się załamać. Więc przychodzi tu, na Szklane Domy, witają się mocnymi uściskami rąk, dzielą się najnowszymi wiadomościami z Kombinatu. Jest dobrze. Stoi Zgniatacz, Karoseryjna, Drobną, Taśma i Drut, na Koksochemii też się ruszyli. Chętnie opowiadają o wydarzeniach ostatnich dni:

- To był najgorszy moment. Jak wyszedłem po poniedziałku, po 32 godzinach i zobaczyłem tę karuzelę, tę zabawę, to się rozpłakałem. Od razu sobie pomyślałem, że to jest "Titanic" - ludzie się topili, orkiestra grała. Oni sobie nie zdają sprawy, jak to jest ciężko, co trzeba wytrzymać - te naciski, kombinacje, chwilowe załamania. A oni nic, jedzą na tej karuzeli. Gdybyśmy coś wysadzili, to może by zobaczyli. O, a tu wieszają takie ulotki, plakaty, piszą: zakładajcie partie i takie tam różne. A my nogami ledwo powłóczymy.

X X X

Taksówkarz /w drodze na Mistrzejowice, piątek/:

- Wie pani, co w Hucie? Szwagier mi mówił, był na pierwszej zmianie. Tam kilku przyszło do pracy - kierownik, brygadzysta i jeszcze paru.
- A szwagier co, pracuje?
- Pewnie, on jest na takiej liście na mieszkanie, ma teraz dostać. Brygadzysta od razu mu powiedział, że musi pracować, bo go skreślą. Tam jest jeszcze drugi, też na tej liście na mieszkanie. A w ogóle to oni za dużo chcieli. Pieniądze mogli dostać od razu, tylko niepotrzebnie przyszedli ci z zewnątrz. W Stalowej Woli załatwili od razu, dostali pieniądze i spokój.
- No, a inni, a lekarze, a nauczyciele, przecież oni też nie zarabiają, można ich tak zostawić?
- Ja tam nie wiem. Ale mają swoje związki, to niech się martwią.

X X X

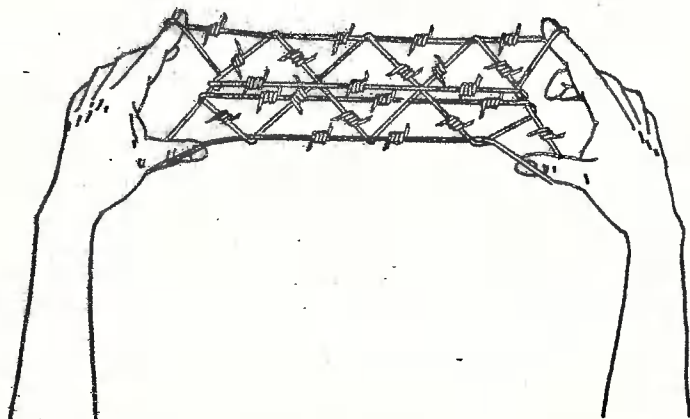
Jest piątek. W restauracji "Zacisze" w Nowej Hucie grawie wszystkim miejsca zajęte - sami mężczyźni. Cichy szum rozmów. Jest godzina 14-ta. Z pierwszej zmiany jeszcze by nie zdążyli, na drugą też nie idą, już zbyt późno. Na stołach piwo, kieliszki z wódką i galaretki z drożdżami - tylko po 140 zł, a konsumpcja obowiązkowa.

Przy stoliku obok najbardziej pijana trójka. Po krótkiej wymianie zdań z kelnerką dostają dwie galaretki do sześciu wódek i dwóch piw. Jeden z nich podnosi kieliszek do góry:

- Pierwszy za pobitych hutników, żeby mieli zdrowie. A ilu już piasek gryzie?

Wychylają do dna.

9 maja 1988



Skazani na śmierć

Białostoczczyzna 1944-46

Gdybyśmy rozpisali ankietę i poprosili możliwie najlepiej dobraną i reprezentacyjną grupę respondentów o wskazanie w dziejach PRL okresu charakteryzującego się największym nasileniem represji i terroru, otrzymalibyśmy - jak można sądzić z dużą dozą pewności - odpowiedź, że były to lata 1948-1956. Wszak to wtedy, "błędy i wypaczenia" sięgnęły zenitu i w pełni zapanował model stalinowski. W tej materii opinia publiczna jest niemal dokładnie zgodna z propagandą.

Przy cyklicznie powtarzających się kryzysach i przesileniach politycznych, kolejne ekipy Zapowiadają likwidację błędów, odchyień i wynaturzeń socjalizmu. Wraz z powtarzaniem się sytuacji, coraz trudniej znaleźć okres, do którego wartości i praktyki można byłoby się odwołać - trudno wszak przyznać, że przez cały okres sprawowania władzy wszystko było "nie tak". Stąd nawet ci, którym można wierzyć, że jakieś zmiany chcieliby wprowadzić odwołują się do lat 1944-1948 jako okresu pewnych osiągnięć. Ich argumenty wydają się z pozoru spójne. Wtedy to istniały w gospodarce wszystkie sektory, mieliśmy pluralizm polityczny /ograniczony, ale jednak/, a że byli ofiary? - Cóż, trwała przecież walka o władzę, mieliśmy wojnę domową - powiadają. Ofiary były po obu stronach.

Tymczasem liczby dowodzą /jakiż może być bardziej przekonujący argument/, że był to okres największego terroru w powojennych dziejach Polski.

Drukujemy poniżej wykaz spraw zakończonych zasądzeniem kary śmierci - żaden wyrok nie ma bardziej zastraszającej, zakładającej sterroryzowanie reszty społeczeństwa wymowy.

W latach 1944-1948 zapadło w Polsce około 2,5 tys. wyroków śmierci, z czego wiadomo, że do końca 1946r. wykonano ponad tysiąc. Dla porównania: w latach rewolucji 1905-1907, w Królestwie Polskim carskie sądy polowe wydały w 1906r. - 250, a w 1907r. - 624 wyroki śmierci. /Wszystkie zostały wykonane./

Dekretem PKWN z 23 września 1944r. wprowadzony został Kodeks Karny Wojska Polskiego. W porównaniu z przedwojennym KKWP represja karna została drastycznie podwyższona przez wprowadzenie w znacznie większej

liczbie artykułów - kary śmierci, oraz poprzez wyłączenie spraw określanych jako zbrodnie stanu /dotyczyło to również pogwałcenia porządku publicznego/ z sądownictwa powszechnego. Artykuł 85 stanowił, że kto usiłuje pozbawić Państwo Polskie niepodległego bytu lub oderwać część jego obszaru podlega karze więzienia od 10 do 15 lat albo karze śmierci. Podobne kary groziły z art. 86 §1 /kto usiłuje przemocą usunąć ustanowione organa władzy zwierzchniej narodu albo zagarnąć ich władzę/ i §2 /kto usiłuje przemocą zmienić ustroj Państwa Polskiego.../ Artykuł 89 dotyczył tych, którzy w celu popełnienia wyżej wymienionych zbrodni porozumiewają się z osobą działającą w interesie obcego państwa lub obcej organizacji albo gromadzą środki do walki orężnej. Artykuł 87 §2 stanowił, że nie podlega karze ten, kto wzięwszy udział w porozumieniu, doniesie o nim władzy, zanim ta się o tym dowie i nim wynikną stąd ujemne skutki. Artykuł 102 m.in. groził karą więzienia od 3 lat lub karą śmierci tym, którzy nawołują do czynów przeciw jednoci ze sprzymierzonym państwem /oczywiście miano tu na myśli wyłącznie ZSRR/. Artykuł 103 groził więzieniem albo karą śmierci temu, kto publicznie łży, znieważa, albo wyszydza ustroj Polski, albo pochwała faszyzm, narodowy socjalizm, zbrodnie hitlerowskie, nawołuje do popełniania zbrodni hitlerowskich /?/ albo do wprowadzenia w Polsce ustroju faszystowskiego; kto zakłada albo publicznie nawołuje do zakładania albo przystępuje do organizacji faszystowskich.

Faktycznie więc, KKWP stanowił podstawę do karania śmiercią osób uprawiających działalność polityczną wszelkiego rodzaju, niezgodną z linią PKWN, czy osób krytykujących dominację ZSRR nad Polską. Sady wojskowe posiadały całkowitą swobodę interpretacji kto np. jest faszystą, co to jest nielegalny związek itd.

Dekret wprowadzający prawo o ustroju sądów i prokuratur wojskowych - również z 23 września 1944r. - stanowił w artykule 8 §1, że w czasie wojny, mobilizacji lub gdy wymaga tego interes obrony państwa, PKWN, na wniosek kierownika resortu obrony narodowej może poddać /drogą rozporządzenia/ właściwości sądów wojskowych, osoby podlegające właściwości sądów powszechnych, a sążone za przestępstwa niebezpieczne dla obrony państwa.

Wojna zakończyła się w 1945r. lecz sprawy polityczne nadal podlegały sądom wojskowym. Po likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w 1954r., na początku 1955r. ograniczono zakres ich działania.

Tak więc, we wrześniu 1944r. został zmontowany aparat sądownictwa wojskowego działający w cywilnych sprawach politycznych. Opierał się on na niekontrolowanym przez władze cywilne, administracyjne aparacie bezpieczeństwa. Ferując drastyczne wyroki, początkowo uderzył on w osoby związane z AK, a po rozbitciu jej resztek skierował się kolejno przeciwko PSL, a następnie niezależnym od PPR działaczom socjalistycznym.

Kolejne regulacje prawne zastrzyży represje. Wydany 30 października 1944r. dekret PKWN o ochronie państwa, we wszystkich swoich 11 artykułach groził karą śmierci, a obejmowały one zarówno przestępstwa polityczne jak i przeciw porządkowi publicznemu, administracyjne i gospodarcze. Wszystkie te przestępstwa wyłączone zostały z właściwości sądów powszechnych i podlegały sądom wojskowym.

Poniżej rozpoczynamy druk spraw rozpatrywanych przez sądy wojskowe i zakończonych zasądzeniem kary śmierci. Dotyczą one obszaru województwa łódzkiego w dawnych jego granicach. Nie jest to niestety pełny wykaz. Nierzadko w sprawach dotyczących naszego regionu wyroki ferowały

sądy w Warszawie, Lublinie, czy w innych miastach - staraliśmy się je wykławić.

Białostocczyzna, obok województw warszawskiego, krakowskiego i rzeszowskiego, zajmuje w tym przerażającym rejestrze czokowe miejsce, a wyroki tu ferowane charakteryzowały się - nawet w ówczesnych warunkach - szczególnym okrucieństwem.

Poniższy wykaz został zaczerpnięty z pracy Łukasza Sochy "Te pokolenia żałobami czarne" /Biblioteka Kwartalnika Politycznego "Krytyka", "Nowa", 1986/. Autor dzieli ofiary wyroków na siedem grup:

- I. - członkowie AK i innych organizacji ruchu oporu, a także więźniowie obozów hitlerowskich,
- II. - zakładnicy, osoby, które do AK nie należały a padły ofiarą odpowiedzialności zbiorowej,
- III. - żołnierze i oficerowie WP i KBW, milicjanci, funkcjonariusze UB, członkowie PPR, skómem ci wszyscy, którzy służyli w aparacie przemocy,
- IV. - Niemcy, autochtoni i volksdeutsche,
- V. - Ukraińcy,
- VI. - oprawcy i mordercy z urzędów bezpieczeństwa,
- VII. - skazani, o których brak było informacji.

Podział ten jest w oczywisty sposób bardzo niedoskonały. Nawet można odgadnąć, kwalifikacja spraw miała także instrumentalne zadanie w toczącej się walce politycznej i propagandowej. Sądzenie działających wyjątkowo z pobudek ideowych członków podziemia za pospolity bandytyzm miało ich zdyskredytować w oczach opinii publicznej. Temu samemu celowi służył także zabieg odwrotny - przypisywanie kryminalnym przestępcom powiązań z politycznym podziemiem.

Jakaś część spraw była od początku do końca sfabrykowana. Pojawiające się w aktach oskarżenia oddziały leśne - "bandy" i stojący na ich czele "watażkowie" często budzą wątpliwości co do swojej realności. Prowokacja mająca na celu wykławianie ludzi skłonnych do czynnego oporu wobec nowej władzy, ale też uzasadniająca powszechny terror należała do praktyki urzędów bezpieczeństwa. Wątpliwości co do rzetelności aktów oskarżenia można by mnożyć, a każda ze spraw musiałaby być od początku dogłębnie zbadana. Wykaz obejmuje również osoby, którym niemal na pewno nie można przypisać jakichkolwiek motywacji politycznych. Również po to, by czytelnik sam mógł sobie wyrobić pogląd o proporcjach oraz o ówczesnej sytuacji w regionie i w kraju, zachowaliśmy słownictwo wyroków. Dominuje więc określenie "banda", a rzadko pojawia się pojęcie "podziemia". Ważnym elementem są też wnioski o ukaskawienie rozpatrywane przez Bolesława Bieruta. Istotny to przyczynek do rzetelnej biografii owego "dobrotliwego ojezdzka narodu", jak go przedstawiają oficjalne hagiografie.

Na zakończenie sprawa bazy źródłowej wykazu. Łukasz Socha nie ujawnia jej: "Nie podajemy archiwum /archiwów/, gdzie materiały te znajdują się, ani sygnatur, pod jakimi figurują. Czynimy to celowe, aby uchronić ludzi, którzy nam je udostępnili przed szykanami i dokumenty przed zniszczeniem czy usunięciem ich w nieznanym miejscu, jak to się często dotąd zdarzało". Niestety, trzeba przyznać autorowi rację.

Pozostaje jeszcze zatem wyjaśnić niektóre skróty podawane w tekście.

WSO - Wojskowy Sąd Okręgowy
WSP - Wojskowy Sąd Polowy
WSR - Wojskowy Sąd Rejonowy
WUBP - Wjewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
DSZ - Delegatura Sił Zbrojnych
KWC - Kierownictwo Walki Cywilnej
KWP - Kierownictwo Walki Podziemnej
MBP - Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
NSW - Najwyższy Sąd Wojskowy
NSZ - Narodowe Siły Zbrojne
NZW - Narodowe Zjednoczenie Wojskowe
PAS - Pogotowie Akcji Specjalnej NSZ
ROAK - Ruch Obrony Armii Krajowej
SSK - Specjalne Sądy Karne
WiN - Wolność i Niezawisłość

/Redakcja/

GRUPA I

Jakub Antoniuk, ur. 15 VII 1911, wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku, żonaty, 1 dziecko, przedwojenny działacz ludowy, skazany w 1938 na 1 rok więzienia za śpiewanie Międzynarodówki. Oskarżony o to, że od IX 1944 do chwili aresztowania /30 I 1945/ kontaktował się z wybitnymi członkami AK, występującymi pod pseudonimami: "Głowa", "Zaczyn", "Ojciec", że przesyłał organizacji AK meldunki o sytuacji politycznej. Oskarżony wyjaśnił, że nie był członkiem AK i że pod wpływem gróźb w październiku 1944 złożył dwa meldunki o treści celowo przekreślonej. Otrzymał wówczas ostrzeżenie, że jeśli nie będzie składał odpowiednich meldunków, to jeden z już przesłanych zostanie przekazany władzom. Następne meldunki złożyła sekretarka, podpisując je jego pseudonimem. Trzy tygodnie przed swoim aresztowaniem ujawnił władzom bezpieczeństwa czołowych działaczy AK. /Oskarżony konsekwentnie twierdził, że opierał się współpracy, lecz obawiał się odwetu. Czy nie wygląda na to, iż nacisk na niego wywierali anonimowi osobnicy, podający się za działaczy AK? Żaden z nich nie był współoskarżonym. Bezpieczeństwo mogło maczać w tym palce. Jedynym materiałem w sprawie były zeznania samego oskarżonego, nie było owych meldunków, które rzekomo posyłał AK. Nie można było zatem ustalić kogo, o czym i jak informował./

26 II 1945 WSO w Lublinie skazał Antoniuka na karę śmierci; próbę skazanego o zastosowanie wobec niego amnestii poparł Bolesław Podęworny i NKW SL.9 XI 1945 WSO w Lublinie stwierdził, że Antoniuk zasługuje na darowanie reszty kary i zastosowanie art. 3 dekretu o amnestii. 7 XII 1946 B. Bierut zdecydował jedynie zawiesić wykonanie kary na 3 lata.

Jerzy Cichosz, ur. 16 III 1923, ogrodnik. Oskarżony o to, że dc IV 1945 należał do AK, że posiadał pistolet i PPSz, że 14 III zabił z pistoletu

fotografa Kalisiewicza, że 9 V 1945 samowolnie uwolnił się z więzienia. Oskarżony przyznał się do winy częściowo, stwierdził, że nie posiadał pistoletu i PFSz, nie zabierał rzeczy Kalisiewicza i zastrzelił go jako szpicla niemieckiego na rozkaz swego dowódcy.

15 IX 1945 WSG w Białymstoku skazał go na karę śmierci, którą B. Bierut zamienił na 10 lat więzienia; za okoliczność łagodzącą uznano, że Kalisiewicz miał przyczynić się do śmierci ojca skazanego z rąk niemieckich. /Nie wyjaśniono jednak, kto był owym dowódcą, jaka była rzecz-wista przynależność organizacyjna Cichosza./

Aleksander Filiponek, lat 30, rolnik, po 2 kl. szkoły powsz., uczestnik kampanii wrzesniowej, jeńiec stalagu /1939-1945/. Oskarżony o przynależność do "nielegalnej organizacji NZW", o udział w napadach bandy "Bitnego" /od X 1945/ na posterunek MO w Brańsku, rozbrojenie jednostki wojskowej na szosie koło Uszy. /Zeznania oskarżonego były tu jedynym materiałem dowodowym. "Bitny" nie stanął przed sądem, podległości organizacyjnej NZW nie ustalono, bo i po co - wystarczało oskarżenie i przyznanie się./

12 IV 1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci. Wniosek Wydziału prawnego KRN stwierdzał, że sąd uwzględnił tylko okoliczności obciążające; skazany oświadczył, że wstąpił do bandy pod przymusem i działał w niej pod groźbą śmierci, co nie wydało się sądowi wiarygodne / zeznania wielu oskarżonych świadczą jednak, że było to prawdą; niski poziom umysłowy oskarżonego, fakt, że był szeregowym działaczem bandy i że w czasie akcji, w których nikogo nie zabito i nie rannono, był tylko wartownikiem, że z bandy zwolnił się już w końcu XI 1945 i wyjechał na Ziemię Odzyskaną, że był w niewoli niemieckiej przez całą wojnę - wszystko to są okoliczności łagodzące. W tej sytuacji Wydział Prawny wnioskuje o zmianę kary śmierci na 15 lat więzienia. B. Bierut /1 V 1946/ nie skorzystał z prawa łaski.

Edward Ryszkiewicz, lat 31, rolnik, 2 dzieci, od V 1942 w AK w pow. Sokółka, od 16 IX 1944 komendant posterunku MO w gm. Babiki. Oskarżony o to, że od 13 VI 1945, będąc w oddziale czy też bandzie por. "Muchy", zbierał żywność we wsi oraz że miał fałszywe dokumenty.

23 IV 1946 WSR w Białymstoku skazał go na śmierć za dezercję. We wniosku Wydziału Prawnego KRN /podpisanym przez W. Barcikowskiego/ podkreślono, że jedynym dowodem w sprawie były zeznania skazanego, że był on niekarany, że tylko zbierał żywność, proponując zmianę kary. 15 V 1946 B. Bierut zamienił wyrok na 15 lat więzienia. /Właściwy powinien być sąd powszechny, a nie wojskowy, ponieważ nie ustalono nielegalnych więzi organizacyjnych./

Stefan Gutowski, szewc, ur. 15 X 1919, po 3 kl. szkoły powsz., nie karany. Oskarżony o należenie do AK do chwili aresztowania /2 II 1946/ w pow. Grajewo, o udział w napadach na 7 posterunków MO. Oskarżony wyjaśnił, że należał do AK tylko w czasie okupacji. W kwietniu 1945 kilku członków AK zbiegło pod przymusem /w razie odmowy groźono śmiercią/ do bandy. Gutowski kategorycznie oświadczył, że od poł. V 1945 zaniechał działalności. /Gdyby więc uznać, że zmuszono go do udziału, należałoby odstąpić od istotnej treści oskarżenia, art.17 KKWP uznawał bowiem działanie pod przymusem za niekaralne./

11 V 1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci. Wydział Prawny KRN /we wniosku podpisanym przez I. Klajnermana/ wskazywał, że nie jest ścisły stan faktyczny ustalony sentencją wyroku, gdyż Gutows-

ki działał do poł. V 1945, a nie do II 1946; napad w Grabowie nie został w ogóle udowodniony, natomiast w innych napadach skazany ubezpieczał akcje, w czasie których nikt nie został ranny ani zabity; brak też jest dowodów, by po V 1945 brał udział w AK. Wydział Prawny wnioskował, aby wyrok śmierci zamienić na 10 lat więzienia. B. Bierut zamienił wyrok na 15 lat więzienia. /Nasuują się tu pytania: kto był dowódcą owej misyjnej AK? czemu nie został ukarany? kto zmuszał do udziału w bandzie?/

Władysław Liniarski, ur. 23 XI 1897, oficer zawodowy /kpt/ dc 1939, wykształcenie średnie, żonaty, dorosłe dziecko, Ferdynand Tokarzewski, ur. 14. III 1911, technik, wykształcenie średnie, żonaty, 9-letnie dziecko. /Sprawę omawiano w prasie, choć przewód był niejawnym; w "Głosie Ludu" podano tylko treść aktu oskarżenia i ogłoszono wyrok śmierci. Tymczasem poszczególne punkty aktu oskarżenia okazały się sfabrykowane w śledztwie./ Oskarżeni o udział w "nielegalnej AK" do chwili aresztowania /31 VII 1945/. Liniarski /"Mściszław"/ był przez cały czas okupacji niemieckiej komendantem okręgu biaostockiego AK. Po wyzwoleniu miał kontaktować się z przełożonymi i podwładnymi, organizować oddziały "samoobronny", zwalczać MO i UB przez likwidację funkcjonariuszy, prowadzić propagandę antypaństwową i antyrządową, uzgodnić współpracę z NSZ, podżegać do aktów terrorystycznych i napadów rabunkowych, prowadzić dywersję w pow. bielskim, grajewskim, rajgródzkim oraz w Biaostockiem. W raporcie do Komendy Głównej AK miał wyliczyć 215 zamordowanych w maju 1945. Oskarżony również o to, że nie zgłosił się do wojska i używał fałszywych dokumentów. Tokarzewskiego /"Kruka"/, komendanta obwodu AK Zambrow, oskarżono o zorganizowanie oddziału specjalnego - "Lisa", który dokonywał rabunków i napadów na posterunki MO w Lubotyńcu, Zarembach Kościelnych, o podpisanie 6 wyroków śmierci, m.in. na Bolesława Kujawę z UB w Łomży i na "Papierosa" /nazwisko nieznane/ - milicjanta, o to, że na jego terenie bandy zamordowały 25 osób /V 1945/, że uchylił się od służby w WP i używał fałszywych dokumentów /jeszcze z czasów okupacji/. Oskarżeni tylko częściowo przyznali się do winy. Liniarski wyjaśnił, że zadaniem oddziałów samoobrony miało być odbijanie aresztowanych; nie wydawał rozkazów likwidowania funkcjonariuszy MO i UB. Stwierdził, że w terenie akcji dokonywały różne grupy - NOW, NSZ i inne, a ponieważ NSZ w swoim czasie podporządkowały się AK tylko częściowo, nie może ponosić odpowiedzialności za NSZ. Zaprzeczał aby miał utrzymywać łączność z bandami, nie zatwierdzał również wyroków śmierci. W maju 1945 skontaktował się z Komendantem Głównym AK, Ślusarczykiem i z "Radosławem", z którymi omawiał sprawy organizacyjne, dotyczące ujawnienia. 9 VII 1945 napisał list do wojewody biaostockiego, w którym informował o przerwaniu pracy konspiracyjnej i prosił o skontaktowanie w celu ujawnienia. "Radosław" umówił się z nim, że 31 VII dostarczy mu informacji w tej sprawie. Liniarski, który przebywał w Warszawie, był zdecydowany od 1 VIII rozpocząć ujawnianie /było to po uchwałach KRN o amnestii, ogłoszonej 22 VII 1945/, ale 31 VII został aresztowany. Mimo to, kiedy w MBP zażądano od niego wydania rozkazu o ujawnianiu, podpisał taki rozkaz. W dochodzeniu przyznawał się do winy zgodnie z treścią aktu oskarżenia, ale na rozprawie tego nie potwierdził. Oświadczył, że składał zeznania mając gorączkę, badany w nocy.

Tokarzewski przyznał, że zorganizował oddział samoobrony w celu niedopuszczenia do rabunku mienia ludności cywilnej /przed rabusiami, maruderami etc./, że nie otrzymywał od Liniarskiego rozkazów uśmiercania.

kogokolwiek; rozkazy takie pochodziły od inspektorów i dotyczyły likwidowania szpicli. Nie zatwierdzał też wyroków śmierci; inspektor obwodowy wydał wyrok na Kujawę, bo ten był w przeszłości agentem gestapo. W śledztwie kazano mu podpisać protokoły, mówiąc, że w sądzie będzie mógł zeznawać inaczej. Napadów na posterunki MO / których funkcjonariuszami byli dawni członkowie AK/ dokonywały inne bandy. Chciał się zdekonspirować ale Liniarski zapewniał go, że wyjdą z konspiracji wszyscy razem. Stwierdził w końcu, że zeznania w śledztwie wymuszono na nim biciem.

20 V 1946 WSO w Warszawie skazał ich na karę śmierci, uznając, że oskarżeni byli winni, że należeli do "nielegalnego Związku AK" i że nakłaniali do zabójstw i do napadów na posterunki MO. Sąd uznał, że nie udowodniono im zarzutu nakłaniania do rabunków oraz że amnestii podlega tylko uchylanie się od służby wojskowej i używanie fałszywych dokumentów. 7 VI 1946 NSW utrzymał wyrok w mocy, ale skład sądzący uznał, że Liniarski zasługuje na ulaskawienie, gdyż miał duże zasługi w walce z okupantem, działalność przestępczą prowadził przed utworzeniem RZiN i wyraził skruchę. Sąd uwzględnił jego robotnicze pochodzenie i fakt, że jako oficer nie był mile widziany przez sanację. Natomiast Tokarzewski zdaniem NSW nie zasługuje na ulaskawienie, bo brał kierowniczy udział w wykonywaniu wyroków śmierci. Prezes NSW uznał z kolei, że żaden ze skazanych nie zasługuje na łaskę ze względu na "wagę popełnionych przestępstw" i "szczególnie silne napięcie złej woli" /ulubione uzasadnienie wyroków, gdy pód sądny skarżył się na rozprawie na znęcanie się nad nim w śledztwie/.

Obszerny wniosek Wydziału Prawnego KRN rzuca ciekawe światło na sposób przygotowywania nie tylko tego, ale także wielu innych procesów politycznych w owym czasie. "Wina skazanych w zakresie ustalonym w wyroku nie budzi wątpliwości tylko w tej części, w jakiej przyznali się oni do winy na rozprawie /a więc nie w dochodzeniu/. Dowody natomiast zawarte w aktach sprawy co do odpowiedzialności skazanych za nakłanianie do zabójstw funkcjonariuszy władz bezpieczeństwa i do dokonywania napadów - mają charakter raczej poszlakowy. W aktach sprawy nie ma wyjaśnień, skąd pochodzą dowody rzeczowe w postaci instrukcji i rozkazów, podpisane pismem maszynowym pseudonimami skazanych /k.92 i 133/. Na rozprawie, po odczytaniu tych pism, zawierających okoliczności obojętne, skazani oświadczyli, że nie są one przez nich podpisane bądź też są im nieznane. Protokoły rewizji /k. 4 i 103/ nie zawierają wzmianek, aby przy skazanych znaleziono jakieś dowody rzeczowe, mającąc znaczenie dla sprawy. Protokoły oględzin dowodów rzeczowych, poza krótkim oświadczeniem skazanych, że zostały im okazane, nie zawierają ustaleń w przedmiocie ich pochodzenia /inaczej mówiąc, "dowody rzeczowe" zostały sfabrykowane przez władze śledcze/. Szczególnie zaś wątpliwości budzi kwestia odpowiedzialności skazanych za nakłonienie do napadów na posterunki MO w Lubotynie, Zarembach Kościelnych i Rudkach oraz do wykonania wyroków śmierci na Kujawie i niejakim "Papierosie". Ustalenia sądu opierają się w tej mierze na zeznaniach skazanych złożonych w dochodzeniu, które odwokali oni na rozprawie. Należy natomiast zaznaczyć, że świadkowie Rzepecki i Kuchciński przesłuchani w toku rozprawy ustalili, że na terenie okręgu białostockiego niezależnie od AK działały inne nielegalne związki uprawiające akcje dywersyjne. W tych warunkach należy uznać, że postępowanie karne, nie ustalając dokładnie konkretnych przejawów działalności skaza-

nych, nie dano dostatecznych podstaw dla stwierdzenia, w jakim zakresie działalność przestępcza skazanych może być zakwalifikowana w ramach art. 1 dekretu o ochronie państwa, a w jakim przekracza dyspozycje tego przepisu i podlega przepisom art. 3 tegoż dekretu i §225 KK. Ścisłe bowiem ustalenie stanu faktycznego i nie budząca w związku z tym wątpliwości kwalifikacja prawna rozstrzygnęłaby ewentualną możliwość zastosowania wobec skazanych amnestii. Co do wymiaru kary, Sąd uwzględnił tylko okoliczności obciążające /było to regulą w sądach wojskowych/ należałoby przeto wskazać, iż przesłanki, na jakich opiera się opinia sądu sądu sądu w przedmiocie ułaskawienia Liniarskiego, znajdują potwierdzenie w materiałach dowodowych sprawy. Z przebiegu przewodu sądowego /.../ wynika, że Liniarski, pełniąc funkcję komendanta okręgu, był uzależniony od swych przełożonych z KG bądź z Londynu. W lipcu 1945r. przedsięwziął wstępne kroki do ujawnienia się. Świadek Liniarska /żona/ stwierdziła, że od połowy maja 1945r. skazany przebywał w Warszawie i tylko raz wyjeżdżał.

W załączonej dokumentacji jest obszerna prośba o ułaskawienie. Liniarski oświadczał w niej, że od 1941 kierował akcją podziemną przeciw Niemcom, podległe mu oddziały stoczyły wiele zwycięskich walk z Niemcami, w latach 1943-1944 współpracowały z oddziałami spadochronowymi Armii Czerwonej. Analogiczne okoliczności dotyczyły Tokarzewskiego, który działał pod wpływem zależności organizacyjnej, wielokrotnie bił się z Niemcami, współdziałał z grupami desantowymi Armii Czerwonej, oczekiwał na ujawnienie, w marcu 1945 chciał wziąć urlop i wycofać się z konspiracji, ale przełożeni nie zgodzili się na urlop. "Radosław" w swym piśmie prosił o rewizję procesu, podkreślając, że skazani powodowali się zależnością organizacyjną, a ich aresztowanie poprzedziło akcję ujawniania rozpoczętą we wrześniu 1945, przypomniał, że podpisując swą deklarację wzywającą do ujawniania, zapewniony został o przychylnym potraktowaniu sprawy "Mściszława".

20 VI 1946 Liniarskiemu zamieniono wyrok śmierci na 10 lat więzienia, Tokarzewskiemu - choć niższemu organizacyjnie - na 15 lat. /Słowo dane "Radosławowi" zostało zkłamane. W prasie nie ukazała się żadna wzmianka o ułaskawieniu. Przeciwnie - późniejsza literatura, opierając się na materiałach śledczych i dowolnie potem fabrykowanych dokumentach, przypisuje do dziś Liniarskiemu tworzenie jakiejś - Obywatelskiej Armii Krajowej i wielu innych zmyślonych inicjatyw./

Stanisław Kulikowski, ur. 18 IX 1898, rolnik, po 3 kl. szkoły powsz., 8 dzieci /od 2 miesięcy do 18 lat/, w AK od 1943. Oskarżony o to, że we wsi Korzenistej do 26 X 1945 należał do "nielegalnego związku AK", że przechowywał broń, miał aparat radiowy /nazwany "podszuchowym"/ i 4 baterie do niego.

5 VI 1946 WSR w Białymstoku skazał go na śmierć, ale skład sąducy wnioskował, aby karę zamienił mu na 10 lat więzienia, ze względu na wykazaną przez skazanego skruczę, dotychczasową niekaralność, brak doświadczenia, niski poziom umysłowy oraz z powodu zaprzestania przez AK działalności w pow. łomżyńskim. Podobnie wnioskował Wydział Prawny KRN, który nadto zaznaczył, że jedynym materiałem dowodowym były zeznania oskarżonego oraz że przełożeni grozili mu śmiercią w wypadku ujawnienia. B. Bierut /25 VI 1946/ zamienił karę śmierci na 15 lat więzienia. /Winą Kulikowskiego było to, że się nie ujawnił - aresztowano go w trakcie

akcji amnestyjnej. Otrzymał 15 lat więzienia za to, że był w AK - nie działał w "bandzie", nikogo nie zabił, na nikogo nie napadł. Czy rzeczywiście przechowywał broń, jeśli jedynym dowodem były jego zeznania, a nie dowody rzeczowe?/

Władysław Zagórski, ur. 27 IX 1912, rolnik, po szkole powsz.. Oskarżony o to, że w pow. Augustów od VIII 1944 do 30 IV 1946 należał do "nielegalnego związku AK" /w wyroku poprawiono już na udział w AK-WiN/, że od V 1945 był dowódcą "drużyny", że wykonywał polecenia przełożonych i wydawał rozkazy, że ostrzygł włosy Buczkowej /V 1945/ za stosunki z żołnierzami niemieckimi, że posłał kartofle bandzie /IV 1945/, a także, że wysłał kilku ludzi do szkoły oficerskiej /to raczej świadczyłoby o pozytywnym stosunku do władzy/, że wstąpił do PSL /XI 1945/, że werbował do PSL, że rozpowszechniał prasę "nielegalną" - organ PSL? i przechowywał większą ilość broni. Oskarżony wyjaśnił, że należał do AK w czasie okupacji, broni nie magazynował, nikogo nie zmuszał do wstąpienia do PSL /PSL wygląda tu jak organizacja nielegalna/.

21 VI 1946 WSR w Białymstoku stwierdził, że wprawdzie oskarżony sam nie przechowywał broni, ale zlecił to Godlewskiemu, że działalność prowadził podstępnie wyzyskując swobodę zrzeszania "dla swych celów", że cechuje go wrogi stosunek do ustroju demokratycznego i duże napięcie z tej woli, i z tych powodów oraz ze względu na "zbrodniczą działalność" AK-WiN skazał go na karę śmierci. Wydział Prawny KRN /we wniosku sformułowanym przez A. Wendla/ był odmiennego zdania; stwierdzono, że skazany tylko raz zmusił do wstąpienia do PSL, że nie brał udziału w aktach dywersyjnych, że jego działalność sprowadzała się do czynności wewnętrzno-organizacyjnych lub werbunkowych i wobec tego "wydaje się możliwym" zamiana kary śmierci na dożywotnie więzienie. B. Bierut /22 VII 1946/ nie skorzystał jednak z prawa łaski. /Sprawa Zagórskiego ilustruje sposób organizowania procesów przeciw członkom PSL. Szeroko omawiała ją prasa PPR jako przykład "współdziałania PSL z bandami". Przed referendum sprawa ta dowodziła, że PSL i WiN to jedno i to samo. Nie usiłowano nawet udowodnić, komu skazany podlegał organizacyjnie w owej AK-WiN, kto był jego przełożonym, gdyż był to zarzut zmyślony./

Albin Adamski, ur. 28 III 1921, rolnik, po 5 kl. szkoły powsz. Oskarżony o należenie do NSZ /do VI 1945/, a następnie do NZW, o to, że był magazynierem broni, że zabrał dwa wieprze i konia, że uchylał się od poboru i brał udział w napadzie na urząd gminny. Oskarżony odwołał zeznania złożone w dochodzeniu jako wymuszone, stwierdził, że nie brał udziału w napadzie na urząd, że w NSZ był do 1943, że był sterroryzowany i ocalał ucony przez organizację.

27 VI 1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci. B. Bierut /29 VII 1946/ nie skorzystał z prawa łaski.

Romuald Sempowski, ur. 4 II 1927, szofer - mechanik, w AK od 1943. Oskarżony o należenie do AK /do 10 VIII 1945/, a następnie do NSZ /do 10 I 1946/ w pow. Wysokie Mazowieckie, o to, że 17 VIII 1945 brał udział w transporcie 2 ludzi, których inni powiesili we wsi Łąży, oraz o kradzież żywności. Oskarżony zeznał, że w drodze powrotnej z akcji został zraniony przez jednego z bandytów i do 21 XII 1945 przebywał w szpitalu w Łąpach.

1 VII 1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci, NSW poprawił błędną kwalifikację prawną; skład sądzący uznał, że powinien skorzystać z prawa łaski i zamiany kary śmierci na 10 lat więzienia, bo

poprzednia niekaralność, niedoświadczenie życiowe, stracenie ojca na Majdanku, skrucha - stanowią okoliczności łagodzące. B. Bierat /29 VII 1946/ zamienił karę na 15 lat więzienia.

Aleksander Rybnik, ur. 13 XII 1906, męczyciel z zawodu, kapitan AK, ps. "Jerzy", "Dziki", Leon Burdyn, rolnik, /8 morg. ziemi/, 4 dzieci, ps. "Czchy", Marian Piekarski, fryzjer, po 7 kl. szkoły powsz., ps. "Paliński", członek PSL /od II 1946/, Franciszek Sowulewski, ur. 14 XII 1915, po 2 kl. liceum, ps. "Bak", Witalis Konikowski, ur. 17 I 1914, szwec, po 5 kl. szkoły powsz., ps. "Dąb", Stanisław Parafianowicz, ur. 16 I 1908, rolnik, 4 dzieci, członek PSL, Józef Słowikowski, ur. 18 XII 1918, rolnik, 3 dzieci.

Rybnika oskarżono o należenie do AK-WiN /do 16 IV 1946/, o to, że był inspektorem i zastępcą komendanta okręgu białostockiego, że nakłaniał do gwałtownych zamachów, że odpowiedzialny był za zabójstwo kpt. Oksanicza, kazał likwidować agentów UB, miał pistolet i posługiwał się fałszywymi dokumentami. Burdyna oskarżono o to, że należał do AK i był szefem dywersji na obwód Suwałki, Piekarskiego - o należenie do AK, o to, że był zastępcą szefa dywersji "Rysia", o ucieczkę z więzienia w Suwałkach /13 IV 1946/, o posiadanie broni; Sowulewskiego - o należenie do AK, gdzie był dowódcą kompanii, a potem batalionu; Konikowskiego - o to, że zdezerterował ze stanowiska zastępcy komendanta MO w Gibach, miał broń i posługiwał się fałszywymi dokumentami; Parafianowicza - o należenie do AK, o udział w napadzie na Ukanowice, gdzie ukradziono 7000z; Słowikowskiego o należenie do AK-WiN i posiadanie broni. /Jak z tego widać wszyscy byli oskarżeni przede wszystkim o należenie do AK w czasie wojny, a po wojnie - do PSL i WiN./

Rybnik zeznał, że podlegał "Mścisiawowi" - Wł. Liniarskiemu, że początkowo, w 1944, próbował porozumieć się z władzami, co się nie powiodło - wtedy nie ujawnił się. Zajmował się opieką i pomocą materialną dla członków AK i próbował zapobiegać samowolnym akcjom ze strony zdemoralizowanych elementów. Napadów nie dokonywano na rozkaz komendy okręgu, przeciwnie - były one łepione przez sąd organizacyjny. Członkowie oddziałów AK nie przebywali w Puszczy Knyszynskiej w celu dokonywania aktów terrorystycznych, lecz dla ułatwienia powrotu do normalnego życia - w tym duchu kontrolował on obwody białostocki, sokólski, suwałki, augustowski /16 IV 1946/. W maju 1945 zameldowano mu, że posterunek MO w Supraślu, obsadzony przez AK, zagrożony jest przez bandę NSZ. Burdyn zeznał, że od 1943 był w AK komendantem rejonu i organizował kompanie. We wrześniu 1945 wyjechał do Gdańska. Do II 1946 nie prowadził żadnej działalności, wrócił po żonę i dzieci. Chłopi wybrali go kierownikiem spółdzielni. "Tadeusz" pod groźbą sądu kazał mu być szefem dywersji, ale on sam wydał rozkaz rozwiązania oddziałów, za co grożono mu likwidacją. Piekarski stwierdził, że był w oddziale leśnym AK w czasie okupacji, że po wyzwoleniu pracował jako fryzjer w więzieniu w Suwałkach, że "Tadeusz" mianował go dowódcą patrolu, że w marcu 1946 polecono mu uwolnić 6 więźniów, czego nie zrobił. Sowulewski zeznał, że "Tadeusz", który przybył w styczniu 1946, mianował go dowódcą batalionu oraz zlecił mu przewożenie ulotek i meldunków. Konikowski był w MO, skąd uciekł 16 III 1945. Zeznał, że "Kropidło" dawał mu rozkazy i ulotki. Parafianowicz miał z rozkazu "Tadeusza" pod groźbą śmierci zorganizować kompanię; zeznał, że przekazywał meldunki o zarządzeniach władz /?/ i o nastrojach, że wyznaczył kontrybucję za pędzenie samogonu we wsi Ukanowicze, że "Tadeusz" ka-

zał mu wstąpić do PSL we wsi Pawłówka. Słowikowski zeznał, że od 1942 był w AK dowódcą plutonu.

20 VII 1946 WSR w Białymstoku skazał wszystkich siedmiu na karę śmierci, zalecając zarazem zamianę wyroku dla trzech oskarżonych na 10 lat więzienia. Wnioski Wydziału Prawnego KRN /podpisane przez I. Klajnermana/ podkreślały następujące fakty. Rybnik, Znakomity organizator, odcina się od postawy wielu innych skazanych działaczy NSZ, a nawet AK, odgradza się od działalności terrorystyczno-trabunkowej. W swej obronie uzasadnia pozostawanie w konspiracji /nieujawnianie się / tym, że swym autorytetem chciał powstrzymać dowódców AK od nieodpowiedzialnych wystąpień przeciw rządowi i od walk bratobójczych. Na rozprawie twierdził nawet, że odnosi się pozytywnie do RzJN, ale w dochodzeniu zeznał, iż dawał rozkazy do przetrwania do wiosny 1946, kiedy to wybuchnie wojna między ZSRR a Anglią i Ameryką. Jest to człowiek niewątpliwie inteligentny i wykształcony, stworzył organizację, która miała 2000 ludzi, unikał rozlewu krwi. 6 I 1946 wydał rozkaz do zaprzestania dywersji, co zostało przyjęte przez dowództwo okręgu. Jeśli więc uznać szczerłość jego wynurzeń, to nieubłagana logika doprowadziła go do sytuacji, w jakiej się znalazł. Niemniej jednak w archiwum znaleziono listę członków komitetów powiatowych PPR /w oskarżeniu nie było zarzutu, że kogoś z tej listy zabito/, imienny wykaz konfidentów i rozkazy podważające jego obronę. /Czy dokumenty te nie były sfabrykowane ex post, jak w wypadku Liniarskiego?/ Jest też tam meldunek o bitwie, w której zginął Oksanicz. O Burdynie we wniosku pisano, że prowadził pracę propagandową, proponując złagodzenie kary do 15 lat więzienia ze względu na 4 dzieci i brak materiałów stwierdzających jakąkolwiek działalność dywersyjną. Piekarski natomiast nie zasługuje na łaskę, gdyż brał udział w uwolnieniu 6 więźniów. Sowulewski zasługuje na zamianę wyroku na 15 lat więzienia; wprowadzic rozklejał ulotki i opracowywał meldunki, ale działalności terrorystycznej nie przejawiał. Konikowski nie zasługuje na łaskę bo jest dezerterskim i ujawnił złą wolę /zapewne nie przyznawał się do winy/. Parafianowicz zasługuje na 15 lat więzienia, bo "napad" na Ulanowicze, gdzie zlikwidowano bimbrownię, zakończył się bez tragicznych następstw. W stosunku do Słowikowskiego kara śmierci jest bezzasadna, gdyż nie nawiązał on łączności, stąd wnioskowano o zamianę wyroku na 8 lat więzienia. We wnioskach podkreślano, że Mieczysław Ostrowski, "Kropidło", komendant obwodu na pow. suwalski dostał wyrok niewspółmiernie niski z innymi skazanymi /zarzucano mu dowodzenie 20 kompaniami, posiadającymi 400 sztuk broni/, co powinno być uwzględnione na ich korzyść przy stosowaniu prawa łaski. Alicja Burdyna, żona Leona, w podaniu o ułaskawienie pisała, że ma 4 dzieci - od 2 do 9 lat, że mąż był w AK, ale porzucił działalność i wrócił do niej pod groźbą śmierci, że działał pod presją, w sposób wymuszony, że jest dobrym obywatelem, spółdzielcą, nigdy nie był karany, że prosi o zamianę kary śmierci na więzienie, co również jest wielką karą. Mimo wniosku sądu, by zamienić Burdynowi, Sowulewskiemu i Słowikowskiemu karę śmierci na 10 lat więzienia, mimo wniosku Wydziału Prawnego KRN o uwzględnienie również Parafianowicza - B. Bierut /27 VIII 1946/ skorzystał z prawa łaski tylko wobec Słowikowskiego /obywatela USA/, zamieniając mu karę śmierci na 8 lat więzienia. 3 IX 1946 Maria Rybnik ze Starosielc pisała w podaniu, że mąża aresztowano 19 IV 1946 we wsi Rybaki za przynależność do AK, że jest matką 2 dzieci - 14 lat i 3 mies. "jak mi wiadomo, mąż mój był dobrym Polakiem, w czasie okupacji niemieckiej brał czynny udział w konspiracji na-

rażając swoje życie i spokój rodziny, obecnie mój mąż nie brał udziału w jakichkolwiek akcjach przeciwko Państwu, Rządowi i Obywatelom i dlatego nie mogę zrozumieć dlaczego musi ponieść tak srogią karę, która pozbawia go możliwości życia i zrehabilitowania się.. Wyrok śmierci ma być wykonany jutro, 4 bm., przeto błagam ob. Prezydenta o łaskę dla nieszczęśliwego męża i ojca. Wyrok jest dla nas tym boleśniejczy, że spotyka go to w jego ojczyźnie, dla której waloczył przez cały czas okupacji."

/Proces opisywano szeroko w prasie. Obok 7 skazanych na śmierć, na ławie oskarżonych zasiadły też inne osoby. Proces miał udowodnić tezę polityczną - współdziałanie PSL z "bandami" WiN. W toku przewodu zarządzała się wyraźnie bardzo dwuznaczna, może nawet prowokatorska rola Mieczysława Ostrowskiego, "Kropidły", częściej znanego tylko pod pseudonimem "Adeusza", głównego organizatora i rozkazodawcy. Należy zwrócić uwagę, że w wyniku działalności skazanych na śmierć, nikt - jak wynika z dostępnych akt - nie został zabity ani ranny, natomiast sprawę zabójstwa Okanicza /8 VII 1945/ sfabrykowano, przypisując ją dowolnie Rybnikowi. Brak nawet oskarżeń o napady, z wyjątkiem Użanowicz, gdzie zlikwidowano nielegalną bimbrownię./

Edward Popławski, ur. 30 IX 1913, rolnik, po 7 kl. szkoły powsz., plutonowy WP. Oskarżony o to, że nie ujawnił swej przynależności do AK, że pozostawał do 14 VII 1946 w nielegalnej organizacji WiN, będąc zarazem dowódcą kompanii WP, miał karabin i pistolet, zdezerterował z 6 batalionu zapasowego /V 1945/, otrzymywał nielegalne pismo "Echa Leśne". Jan Siedlecki /"Pik"/ miał go mianować dowódcą plutonu AK, liczącego 30 ludzi /20 karabinów produkcji radzieckiej i 6 automatów/, zaś dowódcą oddziału /jakiego?/, "Jur" - dowódcą kompanii /80 ludzi, 50 kb./; oddział rekwirował broń po wsiach, wymierzał kary za kradzieże z lasu, pieniądze przekazywał "Jurowi".

8 VIII 1946 WSR w Białymstoku skazał go na karę śmierci. /Popławski, którego pseudonimu w owym rzekomym oddziale WiN nie podano, wykonywał rozkazy "Pika" i "Jura". Był to zapewne oddział dywersyjny WP. Przebieg procesu wskazuje, że dowódcy tego oddziału nie stanęli wraz z nim przed sądem./ B. Bierut /24 VIII 1946/ nie skorzystał z prawa łaski /choć oskarżonemu nie zarzucano ani zabójstwa ani zranienia kogokolwiek./

Stanisław Hamerski, ur. 1908, nauczyciel, wyksz. średnie, żonaty, 1 dziecko. Oskarżony o to, że był "dowódcą kompanii w nielegalnej organizacji WiN" /X 1945 - VII 1946/ i że wydał rozkaz oczyszczenia magazynowanej broni.

29 X 1946 WSR w Białymstoku w trybie doraźnym skazał go na karę śmierci z art. 14 §2 mkk, stwierdzając u oskarżonego duże napięcie zkiej woli /zapewne się bronił/ oraz powołując się na to, że w pow. Wysokie Mazowieckie "przestępstwa tego rodzaju szerzą się w sposób niebezpieczny" /Czyli stosując prewencję karną i odpowiedzialność zbiorową. Art. 14 §2 mkk przewidywał kary 10 lat, dożywotniego więzienia i karę śmierci dla osoby, która "zakłada związek nielegalny". Mjr Ostapowicz wybrał karę najwyższą, choć przestępstwo nie zostało udowodnione i nie spowodowało niczyjej śmierci. Przypisany był więc tylko "zamiar"./ B. Bierut /30 X 1946/ nie skorzystał z prawa łaski / a więc wydał decyzję już następnego dnia po wydaniu wyroku; może egzekucja już się odbyła?/

C.D.N.



ROZMOWY

"Ja nie jestem ONI"

(3)

Z WOJCIECHEM LAMENTOWICZEM ROZMAWIA JACEK RATAJCZAK

J.R.: Jeśli mówimy o konflikcie interesów, nie sądzi Pan, że w trzech książkach, których jest Pan współautorem: "Strategie polityczne współczesnego kapitalizmu", "Instytucje polityczne współczesnego kapitalizmu" i "Reformizm szwedzki", nastąpiło przeakcentowanie aspektu walki w analizie zjawisk i procesów społeczno-politycznych na Zachodzie. Natomiast w "Teorii państwa i prawa" stwierdza Pan: "...nie oznacza to, że działania polityczne są zawsze walką, a nigdy współdziałaniem ludzi. Są jednym i drugim w zmiennych proporcjach".

W.L.: Starłem się to widzieć tak, jak Pan to cytuje, chociaż w konkretnych analizach działań grup nacisku czy konkretnych partii politycznych, czy nawet w samej definicji partii politycznej znacznie mocniej eksponeowałem, że są to organizacje walki, a nie organizacje współdziałania dużych grup ludzi. Wydaje mi się, że dzięki temu można znacznie lepiej zrozumieć na przykład zjawisko utrzymywania się żywotności kapitalizmu, bowiem jest ona moim zdaniem związana przede wszystkim z etosem konkurencyjnym, z tym, co nazywałem logiką sakiewki, gdzie mamy do czynienia z klasą ludzi, która niejako w swym własnym obrębie podtrzymuje etos konkurencyjnej walki według pewnych reguł - ale walki, która nie pozwala stać się jej zupełnie konserwatywną, zakrzepłą grupą utrzymującą przywileje. Dzięki temu klasa ta jest ciągle zdolna do innowacji technicznych, organizacyjnych i kulturowych, ciągle potrafi dostosować się do nowych wyzwań, zachowuje żywotność.

Ten konflikt wbudowany jest w samą istotę istnienia owej klasy nowoczesnych kapitalistów - jest czymś, co zawsze mnie bardzo fascynowało. Wydaje mi się, że nie akcentowałem za mocno konfliktu jedynie w tradycyjnym ujęciu marksistowskim, tzn. między robotnikami a kapitalistami, ale znacznie większy nacisk kładłem w swoich analizach instytucji politycznych na konflikt wewnętrzny różnych grup w obrębie klasy kapitalistów. /.../ Należy zwrócić uwagę na możliwość swobodnej artykulacji konfliktu wewnątrz owej klasy. Otóż ten mieszczański etos konfliktu wewnętrznego, instytucjonalnego przede wszystkim, jest czymś bardzo ważnym. Myślę, że właśnie dzięki zinstytucjonalizowaniu konfliktu, system ten okazuje się być tak stabilnym.

J.R.: Musi istnieć jakieś, być może nieopisywalne w kategoriach analizy marksistowskiej funkcje w społeczeństwie, które pozwala mu istnieć mimo konfliktów.

W.L.: Takim funkcjom jest niewątpliwie sama procedura demokratyczna. Jeśli uznaje się ją za podstawę rozwiązywania konfliktów, to wówczas konflikty te zatrzymują się przed pewną barierą, po przekroczeniu której zagrożona byłaby tożsamość systemu. I tu niejako kończy się pole dla rozgrywania

konfliktu do końca. Wtedy różni partnerzy, w tym także zorganizowani politycznie robotnicy nie wysuwają żądań ani nie podejmują działań mogących zniszczyć system - który jakkolwiek nie jest najlepszym z możliwych systemów, ale jest może pod wieloma względami mniej zły niż szereg innych. Są tego świadomi.

J.R.: W "Teorii państwa i prawa" pisze Pan, że błędem jest niedocenianie interwencji ludzkich w procesie modelowania stosunków społecznych. Jest to - według pańskiego określenia - błąd automatyzmu. Wydaje mi się, że w "Instytucjach..." i w "Strategiach..." nie ustrzegł się Pan sam tego błędu. Rozważmy chociażby także zdanie: "... reformy podnoszące poziom konsumpcyjnego dobrobytu mas społecznych nie są przejawem dobrej woli lub wrażliwości sumienia klasy panującej, ale koniecznym warunkiem reprodukcyjności kapitału".

W.L.: Tutaj nacisk jest położony na taką strukturalną konieczność, w której nie ma pola dla wyboru. Otóż między takim podejściem, które było zawarte w tych książkach, a podejściem, które jest widoczne w mojej ostatniej książce - jest bardzo wyraźna różnica. Podmiotowe potraktowanie elit rządzących i klas panujących we współczesnym kapitalizmie oraz ukazanie z jakiej puli opcji dokonywane są wybory. I że są to jednak wybory, dokonywane przez ludzi, którzy kalkulują interesy własne i innych grup, ale jednakże nie jest to żadna historyczna konieczność. Mogłoby równie dobrze tych reform nie być, gdyby grupy uprzywilejowane stanowczo się im opierały.

J.R.: Najlepszą egzemplifikacją dla tego stanowiska jest chyba nasz system, w którym reformy - zdawałoby się konieczne - ale można ich nie podjąć.

W.L.: Można. Mimo, że konieczny warunek postrzegany jest przez ogromną większość społeczeństwa, elity rządzące uważają, że sobie poradzą bez reform.

W wielu kwestiach oczywiście liczne fragmenty tych książek - gdybym je pisał dzisiaj - zostałyby napisane inaczej, chociaż myślę, że w podstawowych sprawach mógłbym utrzymać ten typ ocen, który jest w nich zawarty - tzn. przeświadczenie, że polityka reform w kapitalizmie jest bardzo ważnym elementem stabilizacji systemu, dzięki czemu zachowuje on swą tożsamość, elastyczność i dynamikę rozwojową. Mógłbym podtrzymać swoje oceny dotyczące reguł gry w systemach partyjnych czy też pewnych cech zjawisk oligarchizowania się partii we współczesnym kapitalizmie, mechanizmu wewnętrznego umiarkowania demokracji parlamentarnej w wyniku pewnych procesów. Nie jestem może oryginalny i to nie jest tylko monopol marksistów na tego typu analizy. Bardzo wielu autorów zachodnich, nie mających żadnego związku z marksizmem ma podobne oceny tych spraw - np. amerykańscy liberałowie czy zachodnioeuropejscy socjaliści.

J.R.: Gdyby Pan mógł skomentować następujące zdanie z "Instytucji politycznych współczesnego kapitalizmu": "... klasa robotnicza i jej sojusznicy przejmując władzę społeczno-gospodarczą i polityczną w wielu krajach, pokazali, że nie tylko można się obejść bez kapitalistycznych przedsięwzięć w uprzemysławianiu gospodarki, ale można to bez nich zrobić znacznie szybciej i bardziej harmonijnie, bez wyzysku słabszych narodów i mniejszym kosztem społecznym".

W.L.: Tak, to jeden ze słabszych punktów tej książki. Okazało się bowiem, że jest to po prostu fałszywe zdanie. Nie ulega wątpliwości, że nic takiego się nie "pokażało" - ta harmonijność przedstawia się wyjątkowo wątpliwie. Tempo rzeczywiste przez bardzo wiele lat było szybsze, ale cena za to tempo była równie wysoka. O tej cenie nie wspominałem tam w ogóle. Bardzo wątpliwy jest też efekt końcowy. Poziom zaspokojenia ludzkich potrzeb, który jest ostateczną miarą także efektywności gospodarowania, jest jednak ciągle za niski, postęp wyraźnie niewystarczający i to nie tylko w stosunku do potrzeb ale także w stosunku do możliwości, które zostały zmarnowane. Marnotrawne funkcjonowanie gospodarki spowodowane jest oczywiście jej specyficznym upolitycznieniem, poddaniem jej rygorom utrzymania władzy przez jedną partię.

J.R.: Czy sąd, który Pan zawarł w swojej książce nie wynikał bardziej z potrzeby ideologizacji rzeczywistości dla konkretnych, dydaktyczno - doktrynalnych celów niż z potrzeby poznawczej uczonego? Była to książka, która - jak Pan powiedział - powstała w określonym miejscu i z myślą o kształceniu określonych ludzi.

W.L.: Przypuszczam, że tutaj rozstrzygającą rolę pełnił zespół, w którym powstała książka i to, że naszym zadaniem podstawowym była krytyka kapitalizmu a nie jego analiza rozumiejąca. Te wszystkie elementy, które świadczyły o wyjaśnianiu i taktej chłodnej analizie - musiały być jednocześnie "zanurzone" w sosie krytyki ideologicznej.

J.R.: Miało to być zatem stanowisko doktrynalne...

W.L.: W pewnym sensie tak i w pewnym sensie wynikające z wymagań właśnie sytuacyjnych, tzn. miejsca, w którym te książki miały być używane jako podręczniki. Ja uważałem, że kapitalizm zasługuje na krytykę natomiast nie zgadzałem się już wówczas z tym, że należałoby to robić przez takie proste odniesienie do sukcesów socjalizmu - przy czym część tych sukcesów była pozorna. Tym niemniej przystałem na tę wersję i jestem współodpowiedzialny za ów tekst w takim jego kształcie.

J.R.: W "Teorii państwa i prawa" pisze Pan o źródłach sprzeczności występujących w systemie socjalistycznym. Wymienia Pan dwa zewnętrzne: "1. pozostałości formacji przedsocjalistycznej w świadomości ludzi i w instytucjach publicznych, 2. wielopłaszczyznowe kontakty z otoczeniem niesocjalistycznym, które sprzyjają importowi napięć i sytuacji problemowych" oraz jedno - ostatnie - wewnętrzne: "wewnętrzne mechanizmy ustrojowe społeczeństwa socjalistycznego". Czy i dzisiaj podobnie sporządziłby Pan te klasyfikacje?

W.L.: Zdecydowanie nie. Bardzo istotnym elementem dla zrozumienia tego tekstu jest sytuacja lat siedemdziesiątych, kiedy w innych podręcznikach - pisywanych przez moich kolegów - w ogóle nie mówiło się o sprzecznościach socjalizmu. Jedynym autorem, który wtedy podejmował to zagadnienie w Polsce był - słusznie moim zdaniem traktowany jako bardzo dogmatyczny marksista - Jarosław Ładosz. Natomiast w podręcznikach państwa i prawa tamtego okresu nikt w ogóle nie zauważał tej problematyki. Co więcej, podręcznik równoległe napisany przez zespół trzech autorów - Sylwestra Zawadzkiego, Jerzego Wróblewskiego i Wiesława Łanga - w ogóle nie podejmuje tego problemu - i to w żadnej postaci. Później, rzeczywistość

niejako, która rozwinęła się bardzo dynamicznie, ukazała się tych sprzeczności, po części potwierdzając fakt, że dokonany przeze mnie wybór polegający na ukazywaniu sprzeczności zarówno w kapitalizmie jak i w socjalizmie - był zasadniczo trafny. Tym niemniej były tam pewne istotne niedomówienia, pewna "miękkosc języka", spowodowana także względami cenzuralnymi. Względy cenzuralne powodowały, że np. nie wolno było posługiwać się zwrotem o konieczności reform w socjalizmie - można było jedynie mówić o doskonaleniu stosunków i struktur. Nie wolno było używać zwrotu - "kryzys zaufania" - cenzura wyeliminowała go z mojego tekstu, zastępując to jakimś pokracznym terminem - "sytuacja kryzysowa zaufania". Sam zwrot "kryzys zaufania" - był najwidoczniej objęty zakazem gdyż używano go po 1970r. i w miarę upływu lat siedemdziesiątych, stopniowo stawał się niecenzuralny.

Wszystkie wymienione czynniki sprawiły, że rzeczywiście pewne kompromisy w stosunku do tego, co myślałem - zostały zawarte jak gdyby na poziomie języka. Nadal jednak sądzę, że niektóre rozdziały są zupełnie niezłą podstawą do rozbudowania ich w całości większe i zbudowania wokół nich nowego podręcznika z teorii państwa.

J.R.: Czy w tym nowym podręczniku trzecie źródło sprzeczności w systemie socjalistycznym znalazłoby się na pierwszym miejscu?

W.L.: Oczywiście, że tak.

J.R.: Myślę jednak, że nie jest to tylko kwestia kompromisu z własnym sumieniem, lecz również kwestia konsekwencji pańskiego kompromisu uwewnętrznionych w postaci treści świadomości odbiorców pańskiej książki. Jest to szczególnie ważne, gdy chodzi o świadomość grupy rządzącej czy ośrodków decyzyjnych.

W omawianej klasyfikacji sprzeczności zawarł Pan właściwie uzasadnienie pielęgnowanego w głowach tych ludzi syndromu twierdzy i jednocześnie bardzo wygodne przekonanie, że za wszystkie ich niepowodzenia jako rządzących - odpowiada właściwie kapitalizm czy to jako formacja przedsocjalistyczna, czy też jako współczesny kontekst socjalizmu.

W.L.: Muszę się tu trochę obronić. Widzi Pan, nie jest tak szkłem źle, gdy się popatrzy na ową analizę. Analizowane jest wyłącznie trzecie źródło sprzeczności. Z tych, które są dalej analizowane szczegółowo, nie znajdzie Pan ani jednej, które należałyby do klasy pierwszej lub drugiej. Są one wymienione tylko jako ogólne źródła, natomiast cała uwaga skoncentrowana jest na punkcie trzecim i wszystko, co zawarte jest dalej - polityczna obecność państwa, wewnętrzna sprzeczność pozycji robotnika i współwłaściciela, kto jest awangardą a kto nie, to, że elita rządząca może być konserwatywna - pisane jest z myślą o trzecim źródle sprzeczności i nie tam nie tłumaczy kapitalizmem. Dalej nie ma już ani jednej takiej sprzeczności, którą uważam za dziedzictwo kapitalizmu ciążące nadal nad nami, skutkiem którego nie możemy np. zaspokoić naszych potrzeb mieszkaniowych.

J.R.: W "Strategiach politycznych..." napisał Pan, że socjalizm nie był atrakcyjny dla klasy robotniczej Europy Zachodniej - i jest to stwierdzenie nie tylko prawdziwe ale i rzeczywiście unikalne w oficjalnych książkach z lat siedemdziesiątych. A czy napisałby Pan książkę o atrakcyjności kapitalizmu dla klasy robotniczej Europy Wschodniej?

W.L.: Myślę, że byłaby to bardzo pasjonująca książka. Uważam, że warto by ją napisać, ukazując te elementy w strukturze, i sposobie działania rozwiniętego kapitalizmu, które fascynują wschodnioeuropejską opinię publiczną. Niektóre elementy tych wzorców pokazałem dość dokładnie w książce o Szwecji - z pełną świadomością tego, na ile są one atrakcyjne. Mnóstwo instytucji w dziedzinie polityki socjalnej, ekonomicznej tam przedstawionych zostało zaprezentowanych w nadziei, że zostanie dostrzeżona ich społeczna atrakcyjność, że ktoś kto książkę "Reformizm szwedzki" przeczyta dowie się, że istnieją atrakcyjne powstaje w kapitalizmie formy, które mogą być dobrym rozwiązaniem z punktu widzenia interesów robotników - nie tylko szwedzkich. Książka, o której Pan wspominał, odwoływałaby się inaczej - trochę do wzorów skandynawskich, inaczej do amerykańskich, inaczej do japońskich.

Na przykład w moich dydaktycznych zajęciach dla aparatu partyjnego - bardzo często okazywało się, jak bardzo atrakcyjne są opisywane przeze mnie struktury kapitalizmu i jak często przyjmuje się je jako coś pobudzającego z westchnieniem: jak by to było dobrze, żeby u nas coś takiego było.

Takiej systematycznej książki o atrakcyjności kapitalizmu nie ma. Można by spróbować ją napisać ale jednocześnie byłoby to dość trudne, gdyż trzeba by najpierw przeprowadzić szczególne badania nad świadomością robotników polskich. Z dotychczasowych badań wynika, że wiele elementów, np. konkurencyjnego sposobu gospodarowania jest atrakcyjnych dla robotników, zwłaszcza wykwalifikowanych, z drugiej zaś strony zauważa się bardzo silne przywiązanie do takich elementów naszego systemu jak pełne zatrudnienie, rozmaite gwarancje socjalne et c.

Wyznając poglądy, że gdyby w Polsce pozwolono ludziom na dokonanie autorytarnego wyboru - to nie wybraliby liberalnego, czystego modelu kapitalistycznego. Tym bardziej by nie wybrali scentralizowanego, radzieckiego modelu socjalizmu - natomiast zdecydowałyby się na pewną mieszaninę socjalizmu szwedzkiego i jugosłowiańskiego, która jak sądzę byłaby stosunkowo najbliższa wyobrażeniom ogromnej większości współczesnego społeczeństwa polskiego. Być może to jest złudzenie, któremu ulegam, ale uważam, że socjaldemokracja nie jest zupełnie beznadziejną sprawą.

J.R.: Ale czy przykład jugosłowiański uważa Pan za coś udowodnionego, czy nie należy raczej traktować go jako eksperymentu, którego efektów ostatecznych jeszcze nie znamy?

W.L.: To prawda, ale z drugiej strony na przykład elementy konkurencji i rynkowej regulacji, które funkcjonują w Jugosławii, czy też fakt, że - jak się okazuje z ostatnich badań w ramach problemu badawczego "Polacy 84" - ogromna większość badanej populacji polskiej akceptuje zalegalizowaną i uporządkowaną emigrację zarobkową - tak jak zrobiono to w Jugosławii w swoim czasie. Chodzi mi o stwierdzenie zgodności pewnego stanu wyobrażeń głównego nurtu świadomości polskiej - o dobrym ustroju - z tym co instytucjonalnie istnieje w Jugosławii lub w Szwecji. W każdym razie ogólnione marzenie Polaków o dobrym ustroju charakteryzuje się raczej pewnymi cechami jugosłowiańsko-szwedzkimi niż ustrojowymi elementami amerykańskimi lub radzieckimi. To na co można byłoby uzyskać możliwie najszerszą akceptację w Polsce - to forma liberalnego socjalizmu z dużą rolą rynku, z bardzo aktywną polityką społeczną - nie mieszaną jednak z polityką gospodarczą - ta druga ma być efektywna i przynosić zyski, ta

pierwsza powinna zajmować się redystrybucją dochodu w sytuacji, gdy pewne grupy wymagają pomocy i wyrównania szans, a których rynek sam z siebie nie może równo traktować. To rozwiązanie jest składnikiem właśnie socjaldemokratycznego myślenia, które nie odrzuca dziedzictwa liberalizmu. Chce na nim zbudować socjalną republikę parlamentarną, ale taką, która nie jest jednocześnie ani totalitaryzmem państwowym ani etatyzmem tłumiącym inicjatywę, ani żadną formą monopolizmu politycznego czy gospodarczego. Jest w miarę konsekwentnym pluralizmem o demokracji przedstawicielskiej i samorządowej, pluralizmem różnych opcji, swobodą wyboru formy, w której człowiek żyje. Jakikolwiek socjalizm, jeśli ma być autentyczny, musi opierać się na zasadzie swobody wyboru form. Człowiek nie może być po prostu zmuszony do życia w fermie, którą nazwie się postępową i powie się mu, że właśnie dlatego ma obowiązek w tej formie pozostać. W takim wypadku nie będzie to nigdy żaden socjalizm lecz jakieś złudzenie czy karykatura. Nie będzie on ani zaakceptowany, ani przeżyty, ani tym bardziej nie spowoduje rzeczywistego uspołecznienia stosunków między ludźmi, prowadzi jedynie do wtórnej prywatyzacji. Nie wybrane przez ludzi uspołecznienie nie jest uspołecznieniem tylko jakąś formą dyktatu. To jest, wydaje mi się, dość oczywiste w świetle doświadczeń, które radzieckie czy wzorowane na radzieckich modele socjalizm mają już za sobą. Więcej; ostatnie wystąpienia przywódców radzieckich zdają się świadczyć o tym, że oni powoli zaczynają rozumieć, że to nie jest rozwiązanie - które praktykują - zagadki o dobrym ustroju.

J.R.: Pomówmy jeszcze o kryzysach. W "Strategiach..." pisał Pan o strukturalnym kryzysie kapitalizmu, w "Instytucjach..." o kryzysie burżuazyjnego parlamentaryzmu. To były stwierdzenia z końca lat siedemdziesiątych. Czy Pan nadal uważa, że stan tych sfer jest nadal stanem kryzysowym?

W.L.: Trzeba dobrze zrozumieć co oznacza słowo "kryzys". Kryzys nie jest tylko świadectwem rozpadu. Kryzys w kapitalizmie - np. kryzys gospodarczy - to jest kryzys nadmiaru towarów, nadmiaru technologii, idei, opcji...

J.R.: Nadmiaru demokracji?

W.L.: Nie powiedziałbym. Raczej - dóbr, idei i pewnych możliwości wyboru, w tym także pewnych wolności. Kapitalizm ze względu na swą konkurencyjną istotę wytwarza właśnie te nadmiary, których sam nie potrafi zagospodarować. To jest kryzysogenna tendencja. Oczywiście, nie znaczy to, że z owego kryzysu kapitalizm czy też ośrodki władzy w kapitalizmie nie znajdują wyjścia. Okazuje się, że znajdują i jestem przekonany, że w przyszłości kapitalizm w krajach rozwiniętych okaże się być zdolny do dalszych ewolucyjnych zmian, przystosuje się zarówno do kolejnej fazy technologicznej rewolucji mikrokomputerowej, jak i do zupełnie nowych wymagań ekologicznych, nowych źródeł energii, do całkowicie innej sytuacji na rynku pracy opanowując obecne, dość głębokie strukturalne bezrobocie - zupełnie inaczej organizując podział pracy i sposób jej wykonywania. Będzie to oczywiście oznaczało znaczne skrócenie czasu pracy. Jeżeli trzydziestopięciogodzinny tydzień pracy jest gdziekolwiek w zasięgu ręki, to właśnie w rozwiniętym kapitalizmie. W ciągu najbliższych paru lat się ta zmiana dokona a nie w przodującym ex definitione realnym socjalizmie, gdzie próbuje się nieustannie wydłużać czas pracy po to, żeby ekstensywnymi metodami osiągnąć jakieś przyrosty produkcji.

J.R.: Twierdzi Pan więc, że efektem tak rozumianego kryzysu może być postęp?

W.L.: Oczywiście, kapitalizm rozwija się przez uczenie się na kryzysach, również na kryzysie strukturalnym tzn. obejmującym struktury podstawowe nie oznaczającym jednak konieczności rozpadu i nie kończącym się sytuacją rewolucyjną. Nigdy takiego nigdy nie twierdziłem. W początku lat siedemdziesiątych napisałem szkic - którego Zresztą nie pozwolono mi opublikować - zawierający hipotezę tzw. "zablokowanej rewolucji". Współczesny kapitalizm skutecznie, przez swoje rozmaite mechanizmy adaptacyjne oraz skuteczną politykę reform - zablokował możliwości udanej rewolucji politycznej. Jest to tendencja długookresowa. Rewolucje na peryferiach ciągle są możliwe, natomiast rewolucje w metropoliach kapitalizmu są moim zdaniem nierealne.

J.R.: Dzięki strategii reformizmu?

W.L.: Dzięki temu, że strategia ta skutecznie reintegruje i na nowo rewitalizuje system, pokazując jego żywotność. Jest świadectwem jego żywotności a zarazem gwarancją teźże na następne etapy rozwojowe. Niestety, uczenie się na kryzysach w systemach porewolucyjnych jest znacznie trudniejsze niż w kapitalizmie. Jest swoistym paradoksem, że elity będące swego rodzaju dziedzicami rewolucyjnego przejęcia władzy przed siedemdziesiątą a czasem przed czterdziestu laty, okazują się być tak mało zdolne do elastycznego reagowania na nowe wyzwania. Od tego pierwszego innowacyjnego posunięcia, jakim jest pasmo zmian rewolucyjnych są tak daleko, że późniejsze działania są skoncentrowane wokół posunięć stricte regulacyjnych prowadzących do nadmiernego regulowania rzeczywistości, że w efekcie zauważalna jest niezdolność tych elit do zmian adaptacyjnych. Odwołam się tutaj do następującej typologii funkcji systemu politycznego: adaptacyjna, regulacyjna, innowacyjna. Im większa była początkowa innowacja, tym większa skłonność do działań regulacyjnych i w efekcie katastrofalnie niska zdolność do adaptacji. Z takim schematem mamy obecnie do czynienia. Z początkowych, pierwotnych impulsów kształtowania nowego systemu, pozostała jedynie zadawiona skłonność do regulowania prawie wszystkiego, skutkiem czego możliwości adaptacyjne są bardzo ograniczone. W omawianych systemach nie ma równowagi między wspomnianymi wyżej trzema typami funkcji... Systemy, o których mowa powoływały się na ideę rewolucji społecznej, rewolucji kulturalnej, która miała zmieniać stosunki między ludźmi, treści tych stosunków. Dzieje się jednak zupełnie inaczej - wszystkie nowe formy kultury, które się pojawiają - pojawiają się głównie w tych częściach świata, które nie były dotknięte rewolucją polityczną. Generuje je Zachód: począwszy od nowych form literatury, dramatu, nowoczesną technologię po nową świadomość ekologiczną, po nową mentalność wreszcie; ludzie sami osiągną tam pewien stan nowej wewnętrznej świadomości, który zgodnie z definicją powinien być cechą socjalizmu. Otóż jest dokładnie przeciwnie.

J.R.: Pozostanmy jeszcze przy socjalizmie. Czy, pańskim zdaniem, socjalistyczno-kolektywistyczne rozwiązanie kwestii społecznych jest słuszne. - wnioskując z tego co dzisiaj obserwujemy po stronie skutków tych rozwiązań?

W.L.: Formy instytucjonalne, które tzw. realny socjalizm przyjął tzn. mo-
nopól jednej partii, system tzw. pasów transmisyjnych - to właściwie bolsz-
zewicki model socjalizmu. Ten model moim zdaniem jest zdecydowanie nie-
atrakcyjny i nie ma jakichkolwiek szans na uzyskanie atrakcyjności -
jeżeli kiedykolwiek ją miał. Możliwe są natomiast różne "barwy" socjaliz-
mu. Socjalizm, który wydaje mi się możliwy i który jest - jak sądzę -
perspektywą także dla rozwiniętych krajów kapitalistycznych opiera się na
umiarkowanym socjalizowaniu poszczególnych funkcji własności prywatnej,
które nie musi jednak oznaczać przejęcia totalnej kontroli nad nią przez
państwo. Rozwiązań polegających na stopniowym uspołecznianiu bez upaństwo-
wiania jest znacznie więcej niż się o nich wie w Europie Wschodniej i
myślę, że tego typu rozwiązania będą się jednak z czasem dokonywały rów-
nież w rozwiniętym kapitalizmie. Powstaną pewne hybrydowe formy, socja-
lizm z pewną nową formą uspołecznionego indywidualizmu tam, gdzie potrzeb-
na jest twórczość, przedsiębiorczość, gotowość dokonywania wyboru i ryzyko
błądu. Bez możliwości wyboru rozwój kultury ludzkiej jest całkowicie nie-
możliwy. Kolektywizm, który znosi potrzebę dokonywania wyboru przez ludzi
i zastępuje to jakąś odgórną decyzją, który wszystko rozstrzyga, jest
dehumanizujący. Chodzi zatem o zdekratyzowanie wolności dokonywania
wyboru. Natomiast to co w owej nowej formie byłoby socjalistyczne, to to,
że jeżeli człowiek, grupa myli się tak dalece w swoich wyborach iż popa-
da w kłopoty natury społecznej, ryzyko socjalne, wówczas system powinien
pomóc. Krótko mówiąc, nie musi być tak by wszyscy byli skazani na samo-
dzielne zapłacenie ceny swej własnej pomyłki. Natomiast powinni sami podej-
mować decyzje i jeżeli ta pomyłka okazuje się bolesną, być zgodzić
jej koszty... W tym między innymi widzę pewien element socjalistyczny
tzn. uspołeczniający niepowodzenia.

J.R.: Miał więc rację papież Leon XIII nazywając w encyklice "Rerum no-
varum" socjalistyczno-kolektywistyczne rozwiązanie kwestii społecznej -
rozwiązaniem fałszywym? Były to lata trzydzieste i jedynym przykładem ta-
kiego rozwiązania była wówczas praktyka ustrojowa Rosji stalinowskiej.

W.L.: Niewątpliwie tak. Świat obserwował wówczas jedynie doświadczenie
radzieckie, doświadczenie brutalnej kolektywizacji powodującej głód, eks-
terminację ludności na masową skalę. Zupełnie inaczej wyglądała wówczas
ta socjalistyczna rzeczywistość. Dzisiaj można powiedzieć, że systemy
realnego socjalizmu mogą potencjalnie być nadal takie same. Ważny choćby
pod uwagę doświadczenia Kampuczy czy apokalipsę chińskiej rewolucji kul-
turalnej; dzisiaj nawet w oficjalnych publikacjach chińskich mówi się o
27 - 30 milionach śmiertelnych ofiar rewolucji kulturalnej. Takie są
koszty parokszemu kolektywistycznemu, który żadną miarą nie zasługuje na
akceptację, nie może być uznany za jakąkolwiek rozsądną opcję.

C.D.N.

folklor polityczny

KES

Anatomia spisku

Czy pokręcone dzieje PRL-u są rezultatem spisku żydowskiego?

Tak! Są! Po przeczytaniu książki XYZ, "Judeopolonia /nieznane karty historii/, Kraków 1981, zatrzęsa się moja dusza i otworzyły się moje oczy i tak trwam w tym wytrzeszczu do dzisiaj. Najpierw powyrzucałem z domu prawie wszystkie książki - były zarażone bądź trockizmem, bądź Talmudem, - a następnie wyciąłem z podręcznika podobiznę Władysława Gomułki, ucałowałem ją i powiesiłem na miejscu ukrzyżowanego Chrystusa /też był Żydem/. Nieco uspokojony usiadłem do pisania niniejszej relacji:

Zacznijmy zatem od początku, a raczej od końca, na końcu bowiem, zamiast podsumowania, autor podaje definicję kilku pojęć, które mają pomóc czytelnikowi w wyciągnięciu właściwych wniosków, ale także w zorientowaniu się, kim są naprawdę ludzie, których nazwiska wymienione zostały wyżej".

/Nota bene nazwisk w tej książce są setki./

Definicje tych pojęć, które są autentycznie rewelacyjne, przepisuję bez skrótów /s. 218-219/.

- patriotyzm - to miłość do ojczyzny, własnego narodu, połączona z gotowością ofiar dla niej,
- internacjonalizm - to dążenie do równouprawnienia, współpracy i przyjaźni wszystkich narodów /proletariacki/, - /ciekawe czy autor bierze pod uwagę Żydów?; przyp. aut./,
- kosmopolityzm - to postawa polegająca na afirmowaniu swojej wspólnoty z całym światem, połączona z biernością wobec własnego środowiska narodowego i niepoczucowaniem się do współodpowiedzialności za jego losy, tzw. obywatelstwo świata,
- karierowicz - to człowiek, którego celem jest zrobienie kariery, którego w dążeniu do tego celu nie powstrzymują nawet skrupuły moralne,
- komunista - to nie tylko członek partii ale przede wszystkim człowiek wyznający ideologię komunistyczną /marksizm - leninizm/ i dążący do jej urzeczywistnienia,
- komunizm - to ideologia społeczna, która uznając zasady rzeczywistej równości socjalnej wszystkich członków społeczeństwa za podstawę sprawiedliwego ustroju społecznego głosi program zniesienia stosunków społecznych opartych na prywatnej własności środków produkcji; zniesienie klasowego podziału społeczeństwa i wyzysku człowieka przez człowieka.

- socjalizm - /1/ tu autor przepisuje definicję komunizmu, dodając dwa zdania na ten sam temat,

/2/ - to ustrój społeczny oparty na realizacji postulatów wysuwanych przez ideologię socjalistyczną.

Myślę, że do tych pojęć klasycy marksizmu - leninizmu mieliby parę zastrzeżeń. Definicje te mają jednak sporą zaletę, są proste i łatwe do zapamiętania.

Wróćmy jednak do początku książki. Już pierwsze zdanie wstępu zapowiada wiele: "Sprawy naszego kraju są dzisiaj w centrum Zainteresowania nie tylko opinii publicznej starego kontynentu. Mimo to, nie żyje się nam lepiej /sic!/. Wprost przeciwnie zaczyna nam zagrażać widmo katastrofy gospodarczej i społeczno-politycznej", /s.1/ Można powiedzieć, że autor śmiało odkrywa nam nowe, nieznanne dotąd zależności w świecie polityki. Taką jest zresztą cała książka.

Analizując sytuację w Polsce w 1981r. dodaje m.in.: "Zmieniono Premiera, wielu Wicepremierów, ministrów, wojewodów, naczelników miast i gmin, a poprawy jak nie ma tak nie ma. Ruszono więc na Partię a konkretnie na jej aparat. Znalaziono wreszcie winnego /.../ W konsekwencji sparaliżowane jedną siłą polityczną w kraju, dotąd jako tako zorganizowaną i częściowo mobilną, a więc zdolną do wykonania nawet trudnych i niepopularnych społecznie zadań." /s.1/ Kto to uczynił? Aby na to pytanie odpowiedzieć autor systematyzuje "pewne ważne wydarzenia z historii naszego ludowego państwa" i ujawnia "niektóre kulisy z tym związane". /s.3/ Sęk w tym, że niektóre kulisy mają swój początek hen, hen i aby je ustalić "trzeba sięgnąć do źródłowych materiałów historycznych z XII wieku". /s.5/ Ponieważ XYZ, jak sam o sobie pisze - jest naukowcem - wobec tego sięga śmiało i ustala co następuje; "W tym właśnie wieku w wielu krajach Zachodniej Europy rozpoczęła się szeroka fala prześladowań Żydów. I wtedy właśnie Polska udzieliła im zbawiennego schronienia. W ten sposób kraj nasz stał się największym skupiskiem Żydów na świecie i głównym ośrodkiem ich kultury.

Ludność żydowska traktowana była na równi z Polakami. Miała jednakowe prawa i obowiązki obywatelskie. Nigdy w naszej historii nie było fali prześladowań Żydów. Wprost przeciwnie, znamy szereg dowodów, także i z ostatniej wojny, kiedy to dzięki Polakom uratowało się przed niechybną śmiercią dziesiątki tysięcy Żydów." /s.7/

Jest to chyba najkrótsza historia stosunków polsko - żydowskich.

"Czym w życiu kierują się Żydzi?" Aby odpowiedzieć na to pytanie XYZ cofa się aż do V w.n.e. i odpowiedź znajduje w: "Talmudzie Babilońskim" - "... dzieci urodzone przez kobietę Żydówkę, traktowane będą jako z krwi i kości Żydzi. /.../ Podam dwa aktualne przykłady. Za Żydów uważa się więc wszystkie dzieci, jakie ma z obecną żoną p. J. Czyrek i p. M. F. Rakowski." /s.9/

Brakuje niestety większej ilości informacji na temat Talmudu Babilońskiego, za to sporo miejsca autor poświęca jego modyfikacjom. Pierwsza z nich, dokonana przez Lwa Trockiego "polega na negowaniu leninowskiej teorii światowego procesu rewolucyjnego" /s.6/ i wielu innych przestępstwach. Wyznaje ją "wielu prominentów naszego życia partyjno - państwowego, chociaż publicznie do tego się nie przyznają". /s.6/ Druga modyfikacja to syjonizm. Obie, jak się później okaże, stanowią istotne zagrożenie dla Polski /ludowej/.

I oto jesteśmy w ZSRR w czasie II wojny światowej. Powstaje tu Związek Patriotów Polskich, Tworzą go działacze byłej KPP, pochodzenia żydowskie-

go, którzy po jej rozwiązaniu "zbiegli na Daleki Wschód ZSRR". /s.7/
Nic też dziwnego, iż na wieść o tworzeniu 1 dywizji Wojska Polskiego
A. Lampe /Żyd oczywiście/ zwrócił się do W. Wasilewskiej /prawdziwa Polka
- komunistka/ z tymi słowami - "Wando!, na ch... nam polskie wojsko,
mamy przecież Armię Czerwoną". Za te słowa o mały włos cała grupa, na
czele z J. Bermanem nie została przeniesiona w "odosobnione miejsce na
płn. ZSRR". Uratował ich Berling. Od tej pory Żydzi uprawiają tajną dy-
plomację. Popierani przez Żyda Berię obejmują większość stanowisk w kole-
jnych rządach i gremiach partyjnych. /s.18-31/ Na przełomie lipca i
sierpnia 1944r. w Lublinie powstaje Centralny Komitet Żydów w Polsce
/CKŻ/, który od tej pory będzie koordynował działalność Żydów. Trzeba
powiedzieć, że najlepiej zorganizowane grupy mafijne nie działają tak
dalekowzrocznie i skutecznie jak CKŻ. A oto niektóre przedsięwzięcia
"tych panów" róższyfrowane przez XYZ: pogrom kielecki, aresztowanie Gomułki,
Żymierskiego i Wyszyńskiego, "Poznański Czerwiec", "Klub Krzywego
Koła", "Marzec 68", "Grudzień 70", wciągnięcie Polski w zadłużenie, wyda-
rzenia 76r. w Ursusie, Radomiu i Płocku, KSS "KOR", "Sierpień 80", prowo-
kacja bydgoska w 81r. i wiele innych. Jak oni to robili? "Tymi rękami"
ale nie tylko, także przekupując, opłakując słabych Polaków - a tych le-
gion ocala. Gierka np. przyjmował do pracy w aparacie towarzyszy Misiaszek
- Żyd, który zarekomendował go innemu Żydowi - Ochabowi, ten z kolei po-
lecił go Zambrowskiemu - oczywiście Żydowi /s.55/ - i sprawę długów ma-
my częściowo z głowy.

XYZ jest członkiem Znakomicie poinformowanym, np. cytuje słowa J. Ber-
mana wypowiedziane na tajnym zebraniu /?/, które odbyło się w jego miesz-
kaniu 6 VI 1956r. o godzinie 23⁰⁰, na którym było obecnych 5 osób ze
ścisłego kierownictwa CKŻ. /s.82-83/ Pozazdrościł takich informatorów.
To zresztą pestka. Jeszcze lepsze są, prawie co do minuty rozpisane wy-
jazdy np. Michnika czy Rakowskiego na Zachód. I to jeszcze nic. Opisy
"zakrętów dziejowych PRL-u" są dokonywane z taką fabularną i stylistycz-
ną maestrią, że Alistar Mc Lean to przy nich początkujący grafoman.
Chciałbym dłużej zatrzymać się przy opisie wydarzeń z grudnia 1970r.
Jest to oczywiście spisak żydowski, Polacy, jeśli biorą udział w tych
wydarzeniach to tylko w charakterze "mięsa armatniego" lub "chuliganów".
Zaczęło się to już w 1967r., kiedy to nienawiść Żydów do Gomułki "osią-
gnęła swoje apogeum". Chciano go wykończyć za wszelką cenę, np. przy po-
mocy "Dziadów". Podjęli się tego K. Dejmek i G. Holoubek. "Najważniej-
szym zadaniem Dejmka było wyeksponować w sztuce wszystkie antyrosyjskie
akcenty, a G. Holoubka - właściwie to później sprzedać publiczności." /s.
130/ Tym razem Gomułka był sprytniejszy i "działacze żydowscy ponieśli
porażkę". "Pocieszało ich tylko jedno, że teraz Polacy będą musieli zaka-
sać rękawy i mocno zabrać się do roboty, zwłaszcza w takich dziedzinach
gospodarki, jak rolnictwo, budownictwo mieszkaniowe, komunikacja zbioro-
wa itd." Oczywiście winni tych zaniedbań byli "działacze żydowscy", któ-
rzy na szczęście odeszli. Rozpoczęły się "lata nadziei". Jak z rozrzew-
nieniem wspomina XYZ: "Zapewne wielu Polaków pamięta szereg działań syste-
mowych i reform podjętych w tamtych latach."

Zajęci reformami i rozmowami z NRF Gomułka i Jaszczuk, nie zauważyli
kolejnego spisku, tzn. "podwyżki cen". "Tutaj dał się wyczuć brak u
Gomułki wiedzy ekonomicznej."

12 XII 70r. u 4 robotników Stoczni im. Lenina zjawili się 8 panów
"niewiadomego pochodzenia", którzy "przekonali" tych nieświadomych 4 ro-

botników, iż protest pracowników stoczni spowoduje natychmiastowe wycofanie decyzji o podwyżkach cen, za wprowadzeniem których opowiadają się ponoć tylko W. Gomułka i B. Jaszczuk. Dla większej zachęty zostawili koperty z zielonymi banknotami. /s.152/

14 XII rano w stoczni przerwano pracę. "Temperatura wiecowania rosła. Jakoś uwadze tłumowi uszedł fakt, że najwięcej i najgroźniej skandowało różnego rodzaju hasła 8 ludzi ubranych w nowe kombinezony, ciemnogruntowe /sic!/. Dwóch z nich zdążyło w międzyczasie otworzyć bramę zakładu, a pozostała szóstka nawoływała do pójścia pod KW PZPR." Tu przerwę, by oszczędzić co wrażliwszych czytelników i nie katować ich opisem "jatk" w "obronie interesów większości". Może jeszcze tylko taki liryczny fragmencik: "Mała dygresja w tym miejscu. Szanowny czytelniku, przez moment wyobraź sobie, że jesteś wtedy szeregowym milicjantem, któremu wydano rozkaz ochrony określonego obiektu przed rozszwieczonej tłumem, który liczy 20-30 razy więcej ludzi niż siły, które Ty reprezentujesz.

Wprawdzie masz pałkę gumową, hełm, miotacz gazowy i pistolet ale czy lęk i strach przed utratą życia nie paraliżuje twego umysłu /.../. Ktoś, kto nie ma wyobraźni, nie widział i nie przeżył tamtejszych wydarzeń może sobie rozprawiać teoryjki o braku rozważań wśród milicjantów i żołnierzy itd." Itd., itp., aż do sentencji, że milicjant to też człowiek.

Czy będzie z tego jakiś morał? Tak, nawet dwa.

1. - interpunkcja i składowania cytowanych fragmentów książki XYZ zostały przeze mnie tylko w minimalnym stopniu skorygowane /zwłaszcza interpunkcja/ i to wyłącznie w tym celu, aby myśli autora można było zrozumieć,
2. - gdy oddałem tę książkę znajomemu, doznałem dziwnej ulgi, że to nie ja mam decydować co z tą książką zrobić.



Z całą powagą...

W poprzednim numerze "Bez Debitu" zamieszczony został apel Społecznego Ruchu - Ligi Obrony Praw Człowieka, Oddziału w Białymstoku wzywający do zbierania i dostarczania informacji o zaginionych obywatelach polskich z terenu Białostoczczyzny, którzy w latach 1944-1946 zostali aresztowani przez władze sowieckie lub wywiezieni w głąb Rosji. Apel ten zawierał też nazwiska i adresy trzech uczestników Ruchu /Jana Deszty Borowskiego, Leopolda Stawckiego i Czesława Żery/, gotowych osobiście podjąć się zbierania i selekcjonowania dostarczonych informacji.

Tymczasem, niedługo po ogłoszeniu Apelu, doszło wśród jego sygnatariuszy do poważnych nieporozumień - tak poważnych, że sprawa została /zapewne z braku lepszych możliwości/ skierowana aż do Sądu Koleżeńskiego w Warszawie, którego werdykt zamieszczamy poniżej.

Pozostaje już tylko z całą powagą stwierdzić, że poważne akcje, podejmowane przez poważnych ludzi, przy tak poważnych trudnościach, jakie następuje walka z naszą rzeczywistością - jak wykazała praktyka - udać się nie mogą.

/Redakcja/

DECYZJA

Warszawa, dnia 8 maja 1988r.

Sądu Koleżeńskiego Polskiej Ligi Praw Człowieka
z dnia 8 maja 1988r.

Działając na zasadzie §21 pkt.8 Programu Działania Polskiej Ligi
Praw Człowieka

Sąd Koleżeński w składzie

Stanisław Kucharek - Radca

Zygmunt Krzemiński - Warszawa

Jan Zapolnik - Gdańsk

rozpatrzył w dniu 8 maja 1988 roku zarzut skierowany przeciw Leopoldowi
Stawickiemu o to, że:

- podjął działania zmierzające do rozbitcia i likwidacji Polskiej Ligi
Praw Człowieka przez podważenie legalności jej istnienia, wyraził wul-
garnie, że nie uznaje władz Ligi i Ligi jako organizacji ogólnokrajowej.

wej, nie uznaje też Międzynarodowej Federacji Praw Człowieka, rozpowszechniał o Polskiej Lidze Praw Człowieka i Międzynarodowej Federacji Praw Człowieka fałszywe wiadomości i opinie dyskredytujące te organizacje, spowodował na terenie Białegostoku wstrzymanie kolportażu Biuletynu Nr 2-3 PLPC, poprzez nacisk moralny spowodował wystąpienie z Ligi uzależnionych od siebie członków.

W wyniku rozpatrzenia zarzutów i przeprowadzonych wyjaśnień w miejscu zamieszkania w/w przez członków Sądu Koleżeńskiego, potwierdziły się wniesione na piśmie zarzuty.

W związku z tym, Sąd Koleżeński podjął decyzję wydalenia Leopolda Stawckiego z Polskiej Ligi Praw Człowieka z dniem 8 maja 1988r., podając decyzję do wiadomości wyżej wymienionego i z zamieszczeniem wiadomości o tym w Biuletynie Ligi.

U z a s a d n i e n i e

Członkowie Sądu Koleżeńskiego w toku postępowania wyjaśniającego stwierdzili, że Leopold Stawcki był jednym z wielu założycieli PLPC. Do Ligi był rekomendowany przez Przewodniczącego ZR w Białymstoku - Stanisława Marczuka i Michała Pietkiewicza. Jest człowiekiem konfliktowym i prowadzi m.in. działania destrukcyjne w związku "S" w Białostokim. W rzeczywistości, do dnia ogłoszenia, przez siebie sporządzonego i podpisanego apelu, nie kwestionował ani władz Ligi, ani podjętych przez uczestników Ligi postanowień zawartych w przyjętym przez Zjazd Programie Działania. Około 3-ch miesięcy po powstaniu Ligi cały czas rozpowszechniał dezinformacyjne wiadomości o Polskiej Lidze Praw Człowieka i Międzynarodowej Federacji Praw Człowieka w celu wyrobienia w społeczeństwie niechęci do Ligi i wstępowania w jej szeregi. Bez upoważnienia i zgody uczestników Ligi w Białymstoku sporządził i podpisał apel za nieistniejący samodzielnie Oddział Ligi Obrony Praw Człowieka w Białymstoku. Pod swoim wpływem spowodował wystąpienie z Ligi członka Rady Koordynacyjnej PLPC Czesława Żera i spowodował zatrzymanie w kolportażu całego nakładu dla Białegostoku Biuletynu PLPC.

Wysiłek prowadzony dla likwidacji Polskiej Ligi Praw Człowieka przez władze administracji państwowej i SB były prowadzone równoległe z działaniami dezinformacyjnymi Leopolda Stawckiego, który stosował pomówienia Przewodniczącego PLPC, oszukał swoich kolegów w Białymstoku oraz księdza parafii w Dojlidach. Cały zakres podjętych, utajonych działań wskazuje na celowo zamierzone, wspólne z władzami rozbitcie niezależnych struktur organizacyjnych na terenie Białostoczczyzny przez Leopolda Stawckiego, stąd decyzja znajduje pełne uzasadnienie.

Przewodniczący składu Sądu Koleżeńskiego
Stanisław Kucharek /podpis nieczytelny/
Członkowie Sądu Koleżeńskiego

Zygmunt Krzemiński /podpis nieczytelny/
Jan Zapólnik /podpis nieczytelny/

Red. przypomina, że podano, iż apel, o którym mowa został ogłoszony publicznie przez x. Stanisława Suchowolca; w d. 22 listopada 1987r. podczas uroczystej Mszy Św. za Ojczyznę, odprawionej w kościele pw. Niepokalanego Serca Maryi w Białymstoku - Dojlidach.

POWIADKA Z HISTORII

Ruch Obrony Praw

Człowieka i Obywatela w Polsce

Inicjatywa pojawiła się w środowiskach niepodległościowych w 1976 roku, a zaczęła się konkretyzować na początku 1977 roku w postaci projektu apelu do społeczeństwa, którego ostateczny kształt po dyskusjach wśród przyszłych sygnatariuszy podany został do wiadomości publicznej 26 marca 1977r. na konferencji prasowej prowadzonej przez dwóch rzeczników Ruchu Obrony - Andrzeja Czumę i Leszka Moczulskiego.

Podpisy pod apelem złożyło 18 obywateli /z podaniem adresów/: gen. Mieczysław Boruta - Spiechowicz /Zakopane/, Andrzej Czuma /Warszawa/, Karol Głogowski /Łódź/, Kazimierz Janusz /Warszawa/, Marek Myszkiewicz, Niesiołowski /Łódź/, Antoni Pajdak /Warszawa/, ks. Bohdan Papiernik /Łódź/, Zbigniew Sekulski /Łódź/, Zbigniew Siemiński /Łódź/, Bogumił Studziński /Zalesie k. Warszawy/, Piotr Typiak /Warszawa/, ks. Ludwik Wiśniewski /Lublin/, Adam Wojciechowski /Warszawa/, Andrzej Woźnicki /Łódź/, ks. Jan Zieja /Warszawa/, Wojciech Ziemiński /Warszawa/. Wśród sygnatariuszy było czterech działaczy KOR-u: St. Kaczorowski, W. Ziemiński, A. Pajdak i ks. J. Zieja - dwaj ostatni wycofali później swe podpisy.

Ruch Obrony w swoim działaniu oparł się o Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka, trafny zbiegiem okoliczności ratyfikowane przez Radę Państwa PRL 3 marca 1977r., co zobowiązywało władze do respektowania Paktów. Wyrażając zadowolenie z faktu ratyfikacji, sygnatariusze Apelu stwierdzają m.in. że do "najcenniejszych i zawsze żywych tradycji narodu polskiego należy nadawanie najwyższej rangi prawom człowieka i obywatela, godności jednostki, wolności i wzajemnej tolerancji".

Powołując się na fundamentalne zasady zawarte w takich aktach, jak Nanimem Captivabimus, Nihil Novi, Konfederacja Warszawska, Konstytucja 3 Maja oraz w oparciu o hasło "Za wolność naszą i waszą" stwierdzają:

"Prawa człowieka i obywatela są nienaruszalne, niezbywalne i nie można się ich zrzec. Nie może być prawdziwie wolny naród, którego członkowie rezygnują z korzystania i z obrony swoich praw - jak tego dowiodły doświadczenia historyczne, także Polski i Polaków".

W swym działaniu oparli się również o Akt Końcowy KBWE z 31 lipca 1975r., jak również o Konstytucję PRL, przyznającą w części deklaratywnej - wolność przekonań, wypowiedzi, druku, zgromadzeń i manifestacji oraz zrze-

szania się, oświadczając, iż "praktyczna realizacja tych norm konstytucyjnych stała się niezbędna nie tylko dla duchowego życia narodu, lecz stanowi nieodzowny warunek należytego rozwoju gospodarki i kultury narodowej". Postanowili podjąć wspólne solidarne działania, aby:

1. przestrzegać i dbać o przestrzeganie wszystkich praw człowieka i obywatela oraz jego godność,
2. ujawniać wobec opinii publicznej i sygnalizować właściwym organom fakty łamania praw i wolności człowieka oraz udzielać, w miarę naszych możliwości, pomocy i ochrony ofiarom,
3. propagować w społeczeństwie i postulować wobec władz państwowych zmiany w obowiązującym ustawodawstwie oraz przepisach wykonawczych, zmierzające do realnego i nieprzerwanego zagwarantowania praw i wolności, określonych w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka oraz w Międzynarodowych Paktach Praw Człowieka, wraz z tzw. protokołem opcyjnym wszystkich państw europejskich - dla stworzenia wspólnej, prawno-politycznej płaszczyzny rozwoju procesów rzeczywistego odprężenia i porozumienia w Europie,
4. współpracować z wszelkimi organizacjami międzynarodowymi broniącymi praw człowieka, a zwłaszcza z Komisją Praw Człowieka przy ONZ, by idea wolności zatryumfowała w świecie /.../.

Pół roku później, na I Ogólnokrajowym Spotkaniu uczestników Ruchu Obrony /w dniach 17 - 18 września 1977/ następuje dalsze skonkretyzowanie i rozwinięcie programu oraz celu działania Ruchu. Uczestnicy Spotkania oświadczyli m.in. że R.O. jest społecznym działaniem obywatelskim - "nie posiadającym struktury organizacyjno-statutowej, członkostwa i władz - łączącym w sobie spontaniczne, solidarne poczynania obywateli, indywidualnie i zbiorowo podejmowane na ich odpowiedzialność, w zakresie przez nich uznawanym za słuszny. Nie uchyla to prawa do porozumiewania się ludzi między sobą w celu uczynienia swojego działania bardziej skutecznym. Działalność o charakterze światopoglądowym, ideologicznym i politycznym - jeśli prowadzą ją ludzie uczestniczący w Ruchu Obrony - jest ich sprawą osobistą, w przedmiocie treści głoszonych poglądów i podejmowania działań, a sprawą Ruchu Obrony - uznawanie i popieranie ich prawa do głoszenia tych poglądów i prowadzenia działań". Oświadczyli także, że jest ruchem: "mającym charakter ruchu społecznego, chociaż skupiającym również obywateli działających politycznie - także w opozycji demokratycznej - realizującym w praktyce zasady pluralizmu, opartym o ogólnospołeczne założenia ideowe podporządkowane nadrzędnemu celowi, jakim jest realizowanie niezbywalnych praw człowieka i narodu do wolności i niezawisłości, zgodnych z niepodległym duchem Polaków i tradycją Rzeczypospolitej".

Strukturalne zastrzeżenia były konieczne, ponieważ R.O. nie był organizmem jednolitym politycznie i ideowo. W jego skład wchodził przede wszystkim działacz nurtu niepodległościowego, działacz ze środowiska chrześcijańsko-społecznego, ludowcy, Ruch Wolnych Demokratów. Wśród "niepodległościowców" Leszek Moczulski określał siebie jako piszącego.

Używając bardzo uproszczonej nomenklatury, określić można R.O. jako konglomerat politycznie centrowy.

Ruch Obrony od kwietnia 1977r. wydaje miesięcznik "Opinia". Nowością w niezależnej działalności wydawniczej jest podanie składu i adresu redakcji. W skład redakcji wchodził: K. Janusz, L. Moczulski, W. Ziemiński. Od grudnia 1977r. dochodzi A. Wojciechowski, od kwietnia 1988r. A. Czuma - obaj zresztą współredagujący od początku "Opinię", podobnie

jak i Jan Dworak, który nigdy oficjalnie w skład redakcji nie wszedł. Po rozejściu się z L. Moczulskim w połowie 1978r. w skład redakcji wchodzi Emil Morgiewicz. Adres redakcji - mieszkanie K. Janusza. Powszechno Biuro Prasowe Ruchu Obrony, również w mieszkaniu K. Janusza, przez niego prowadzone.

W numerze pierwszym artykuł redakcyjny omawia charakter i zamierzenia R.O.: "Nie będąc stowarzyszeniem, Ruch Obrony opiera się na samostanowionych i autonomicznych działaniach obywateli, wynikających z Apelu z 25 marca - przy czym działania te indywidualnie lub zbiorowo podejmowane są w zakresie uznanym za właściwy i w formach swobodnie wybranych przez poszczególnych obywateli, bądź ich grupy i na ich wyłączną odpowiedzialność. Masowy charakter Ruchu Obrony powoduje bowiem, że działania podejmowane przez któregokolwiek z jego uczestników w niczym nie zobowiązują ani nie ograniczają innych uczestników, którzy w szczególności nie ponoszą za nie odpowiedzialności. Formy uczestniczenia w Ruchu Obrony mogą być rozmaite i zależą tylko od swobodnej decyzji poszczególnych osób. Uczestniczy w Ruchu Obrony każdy, kto podejmuje dowolne działania zmierzające do realizacji celów, wynikających z Apelu z 25 marca".

Ta formuła w zamierzeniach swych demokratyczna, będzie zdawać egzamin tak długo, jak długo uczestnicy R.O. mając dobrą wolę będą wspólnie działać. Spontaniczne działania, pozwalające każdemu obywatelowi wypowiedzieć się praktycznie w imieniu R.O. /pod szyldem R.O./ doprowadziły do przysięgi do sytuacji kryzysowej. /Powstały pół roku wcześniej KOR nie popełnił tego błędu, gdyż w jego skład wchodziła ściśle określona liczba członków, mogących współdecydować o charakterze Komitetu, a tzw. sympatycy i współpracownicy KOR-u nie mieli żadnego bezpośredniego wpływu na decyzje Komitetu/.

W omawianym wyżej artykule redakcyjnym czytamy również: "Ruch Obrony nie rości sobie prawa do wyłączności. Celem naszym jest realizowanie zasad zawartych w Apelu, lecz z zadowoleniem przyjmujemy działania innych, którzy tworzą lub stworzą sobie inne ramy aktywności.

Z uznaniem odnosimy się zwłaszcza do Komitetu Obrony Robotników, który w obecnym okresie historycznym stał się awangardą wszystkich następnych działań w obronie praw obywatelskich i czynem dowiódł, że społeczna obrona tych praw jest nie tylko konieczna, ale i możliwa.

/.../ Ruch Obrony nie ma charakteru politycznego. Jest on niejako ponadpolityczny. /.../ Formuła Ruchu Obrony jest pluralistyczna: skupia on ludzi o różnych światopoglądach i przekonaniach politycznych, nawiązujących do często odmiennych elementów tradycji narodowych, hołdujących różnym metodom działania".

Od 15 kwietnia 1977r. rozpoczęły działalność dwa punkty konsultacyjno-informacyjne: w Warszawie /mieszkanie Kazimierza Janusza/ i w Łodzi /mieszkanie Benedykta Czumy/. Od czerwca otwiera się trzeci PK-I w Poznaniu /mieszkanie Restytuta Staniewicza/, z końcem lipca w Katowicach /mieszkanie Kazimierza Switonia/ i w Przemyślu, we wrześniu w Lublinie /mieszkanie Zdzisława Jarozka/, w październiku w Bydgoszczy, Krakowie, Szczecinie, w końcu 1977r. w Gdańsku - Wrzeszczu, we Wrocławiu /po 3 miesiącach zamknięty wskutek nacisków służby bezpieczeństwa na właścicielkę mieszkania/ i w Zamościu. W połowie 1978r. otwiera się PK-I w Kaliszu.

Punkty konsultacyjno-informacyjne spełniały wielorakie funkcje. Były miejscem spotkań uczestników R.O., jak również działaczy innych u-

grupowań, miejscem dyskusji, wymiany informacji, wydawnictw niezależnych /nie tylko wydawnictw R.O./, w punktach udzielano wszelkiej możliwej pomocy, przede wszystkim prawnej, obywatelom, których dotknęło bezprawie różnych szczebli władzy w mieście i na wsi. W miarę możliwości udzielało pomocy finansowej /co nie osiągnięto dużych rozmiarów ze względu na skromne fundusze R.O./.

W punktach konsultacyjno-informacyjnych w większości wypadków otwarte zostały Kluby Swobodnej Dyskusji. Kluby zaczęły działalność w listopadzie 1977r. w Łodzi, Lublinie, Gdańsku /nie w PK-I/. W styczniu 1978r. otwarto dwa kluby w Szczecinie i we Wrocławiu /ten ostatni nosił nazwę Klubu Refleksji Obywatelskiej/, w marcu w Poznaniu, w kwietniu w Warszawie /mieszkanie M.M. Skuzy/. W klubach odbywały się wykłady, prelekcje z dyskusjami - zależnie od aktywności środowiska co tydzień lub dwa.

Ruch Obrony w okresie całej działalności /praktycznie od sierpnia 1980r./ realizował swoje zasadnicze zadania organizując najpierw kampanię wokół ogłoszenia w Dzienniku Ustaw tekstu ratyfikowanych Międzynarodowych Paktów Praw, następnie w szeregu wniosków obywatelskich do Sejmu PRL domagając się zmian w ustawodawstwie dla uzyskania jego zgodności z Paktami, koncentrując się przede wszystkim na podstawowych prawach obywatelskich. W związku z tym m.in. postulował do władz o gwarancje prawne dla Kościoła /prawny status Kościoła, budowa świątyni, pisma kościelne, radiowo i telewizyjne Msze św./.

R.O. reagował w sposób aktywny na wydarzenia w kraju poprzez oświadczenia wydawane bądź przez rzeczników R.O. /do czerwca 1978r./ gdy zachodziła konieczność szybkiej reakcji, bądź sygnowane przez większą liczbę uczestników R.O.; brał udział lub organizował manifestacje, uroczystości patriotyczne, brał udział w okolicznościowych Mszach św. i nabożeństwach. Działacze R.O. protestowali przeciw rozmaitym nadużyciom władzy poprzez głodówki protestacyjne, akcje ulotkowe, oświadczenia itp. Organizowane były akcje w miejscach publicznych, mające na celu zbieranie podpisów obywateli pod wnioskami i petycjami, połączone niejednokrotnie ze zorganizowaniem wiecu informacyjnego /który trwał na ogół około 15-40 minut - do chwili interwencji sił policyjnych/. Działacze R.O. uznając, iż wybory do rad narodowych /Luty 1978/ oparte są o ordynację wyborczą będącą naruszeniem Międzynarodowych Paktów Praw Obywatelskich i Politycznych, włączyli się do kampanii przedwyborczej uczestnicząc aktywnie w spotkaniach przedwyborczych, przeprowadzając akcję ulotkową i informacyjną.

Najaktywniejsze ośrodki R.O. to Warszawa, Gdańsk, Łódź, Lublin, następnie Szczecin, Kalisz, Katowice, Wrocław, Poznań, Przemyśl, Bydgoszcz, Żduńska Wola, okolice wsi Górne /Lubelskie/, Pieszyce /Dolny Śląsk/. Poza wymienionymi ośrodkami, mającymi oprócz Żduńskiej Woli i Górnego punkty konsultacyjno-informacyjne, materiały R.O. i pismo "Opinia" docierały do wielu innych miejscowości, gdzie byli sympatycy R.O., ale udział tych ostatnich był na ogół bierny - zaczęto dopiero w czasach "Solidarności", kiedy ludzie ci wykazali większą dojrzałość i wiedzę społeczną oraz aktywność w pracach Związku.

W końcu września 1977r. środowisko młodych uczestników R.O., głównie z inicjatywy środowiska gdańskiego, zaczęło wydawać pismo - miesięcznik "Bratniak". W pierwszych numerach za kolegium redakcyjne pismo podpisują studenci: Aleksander Hall /Gdańsk/ i Marjón Piłka /Lublin/.

W następnych numerach dochodzą: Jacek Bartyzel /Łódź/, Tomasz Mróz /Lublin/, i Wiesław Parchmowicz /Szczecin/. W następnych latach skład redakcji częściowo się zmienia stabilizując się na zespolu: J. Bartyzel, Maciej Grzywaczewski /Warszawa/, W. Parchmowicz, A. Hall, Arkadiusz Rybicki /Sopot/.

Ludowcy działający w R.O. podejmują jesienią 1977r. wydawanie pisma miesięcznego "Gospodarz". Pismo redagują: Piotr Typiak i Bogumił Studziński. Ukazuje się ono dosyć regularnie przez lata działalności R.O. Kolportowane jest w środowiskach wiejskich. Jak głosi podtytuł, jest to "pismo w obronie praw chłopskiej gospodarki rodzinnej".

23 lutego 1978r. trzech działaczy R.O. ze Śląska: Roman Kéciuczek /Mysłowice/, Władysław Sulecki /Gliwice/ i Kazimierz Switoń /Katowice/ utworzyli pierwszy w kraju Komitet Wolnych Związków Zawodowych. Reakcja władz była znacznie ostrzejsza niż przy powstaniu KOR-u czy Ruchu Obrony. Działacze WZZ prześladowani byli w szczególny sposób. W sierpniu 1978r. zaczyna się ukazywać pismo poświęcone odrodzeniu wolnego ruchu zawodowego w Polsce "Ruch Związkowy" redagowane przez Romana Kéciuczka, Kazimierza Switonia oraz dwóch innych działaczy R.O.: Andrzeja Woźnickiego /Łódź/ i Jana Zapólnika /Gdańsk/. Pismo na ogół drukowane jest w Łodzi.

Działacze R.O. z Kalisza, Wrocławia i Zduńskiej Woli wydawali w latach 1979-80 pismo "Wolne Słowo". Pismo redagowali: Zenobia Cieślińska /Wrocław/, Józef M. Janowski /Zduńska Wola/, Antoni Pietkiewicz, Bogusław Śliwa i Tadeusz Wolf /Kalisz/.

Od czerwca 1979r. warszawskie środowisko młodzieży szkół średnich, sympatyzujące z R.O. zaczęło wydawać pismo "Uczeń Polski".

Pisma R.O., jak również inne opracowania, książki, plakaty, drukowane były najpierw w "Wydawnictwie Polskim", a od jesieni 1978r. w "Wydawnictwie im. Konstytucji 3 Maja".

Idąc za przykładem Studenckiego Komitetu Solidarności, który powołał studenci wyższych uczelni Krakowa w maju 1977r., po śmierci Stanisława Pyjasa, studenci uczelni gdańskich - działacze R.O. - powołał swój SKS jesienią 1977r., a studenci uczelni szczecińskich w maju 1978r.

Jak wyżej wspomniano, w woj. lubelskim w okolicach Łęcznej, chłopcy utworzyli swój Wiejski Klub Dyskusyjny. W związku z przymusowym egzekwowaniem od rolników składek emerytalnych, na podstawie ustawy krzywdzącej rolników indywidualnych, rolnicy regionu lubelskiego ze wsi Zalesie, Kajetanówka, Kolonia Górna, Wólka Łanuchowska, Ciechanki Łanuchowskie, Kolonia Ostrówek, Subczyn, Kluczb, zorganizowali w dniach 28 -30 lipca 1978r. strajk rolny nie odstawiają mleka /strajkowali w tych wsiach prawie wszyscy chłopcy/. Po strajku rolnicy z tych wsi oraz kilku innych zebrani w liczbie około 200 utworzyli Tymczasowy Komitet Samoobrony Chłopskiej, który został upoważniony "do rozmów z władzami na temat obecnego strajku, jego następstw i sytuacji chłopów w naszym regionie" /z oświadczenia TKSch - "Opinia" nr 7-8/1978/. W skład Komitetu weszło 16 osób.

Powstanie Ruchu Obrony przyjęte zostało od razu bardzo negatywnie przez władze /artykuł redaktora naczelnego "Trybuny Ludu" J. Bareckiego, który ukazał się natychmiast po konferencji prasowej R.O. 26.III.1977r./.

Reprezję zaczynając się od administracyjnych sztykan /zwolnienia z pracy, nagonki w miejscach pracy na aktywnejszych działaczy R.O., nakazy wydziałów spraw wewnętrznych "rozwiązania nielegalnego stowarzyszenia"/,

poprzez inwigilacje działaczy i FK-I. Następują rewizje, zatrzymania, kolegia orzekające, coraz częściej zdarzają się pobicia przy zatrzymaniach.

Członkowie PZPR zostają poinformowani przez specjalną broszurę /"Aktualne zagadnienia dywersji ideologicznej", marzec 1977r./ o działaczach Ruchu Obrony, oceniającą oczywiście ich sylwetki w jak najbardziej negatywnym świetle.

Powołanie Komitetu Wolnych Związków Zawodowych na Śląsku wywołuje silną eskalację represji ze strony sił policyjnych. K. Świton, R. Kóciuczek, W. Sulecki i B. Cygan są ciągle prześladowani. Mieszkanie K. Świtonia, będące punktem konsultacyjnym i ośrodkiem Komitetu WZZ jest obłożone przez siły policyjne. Świton i jego rodzina są systematycznie terroryzowani. Napięcia nie wytrzymuje W. Sulecki wyjeżdżając z kraju.

Równie ostro władze reagują na tworzenie się Studenckich Komitetów Solidarności, posuwając się w represjach do usuwania z uczelni.

Wraz z rozwojem niezależnej działalności /szczególnie w okresie od 1979 - pierwsza połowa 1980r./ ilość wyrzuceń z pracy, rewizji, zatrzymań, aresztowań wzrasta. Jest to zjawisko powszechne, dotyczy ono Komitetów WZZ, KSS KOR-u, Ruchu Obrony, SKS-ów i Ruchu Młodej Polski.

W maju 1978r. narasta konflikt wewnątrz redakcji "Opinii" między L. Moczulskim a resztą redakcji z A. Czumą na czele. Jest to konflikt nie tyle personalny ile dotyczący zasad działania. Istotny wpływ miała tutaj wspomniana wcześniej demokratyczna formuła R.O., nie pozwalająca na precyzyjne określenie zakresu kompetencji nie tylko przedstawicieli Spotkań Ogólnokrajowych, ale i innych ciał, które w naturalny sposób się wytworzyły /jak np. pismo "Opinia", instytucja rzeczników R.O./. Formuła ta pozwalała natomiast każdemu obywatelowi publikować pod szyldem Ruchu Obrony teksty, za które w opinii społecznej odpowiedzialność ponosił cały Ruch. L. Moczulski twierdził, iż był zwolennikiem koncepcji, że rola poszczególnych działaczy R.O. powinna być funkcją ich aktywności, zarzucając A. Czumię, że jest zwolennikiem sformalizowania funkcji w Ruchu Obrony. Natomiast członkowie redakcji "Opinii" postawili zarzut, że chce im, i nie tylko im, narzucić swoją koncepcję i reguły działania, z którymi się nie zgadzali.

Na III Ogólnokrajowym Spotkaniu uczestników R.O. w Zalesiu koło Warszawy 10 czerwca 1978r. /wzięło w nim udział 58 osób z 15 miejscowości/ doszło do rozłamu. W głosowaniu większość uczestników zaaprobała nowy skład redakcji "Opinii" bez L. Moczulskiego /A. Czuma, K. Janusz, A. Wojciechowski, W. Ziemiński/, przyjmując dotychczasową praktykę jako zasadę, iż jest to pismo Ruchu Obrony, zrezygnowała z instytucji rzeczników, powołała Radę Finansową Ruchu Obrony /w głosowaniu tajnym/ w składzie St. Kaczorowski, ks. B. Papłernik, M. Piłka, P. Typlak, W. Ziemiński.

Po stronie L. Moczulskiego stanęło środowisko młodych działaczy z Gdańska, Ruch Wolnych Demokratów, część działaczy z Krakowa, Przemysła, Lublina i Szczecina. Utworzyli oni 16 września 1978r. Zespoły Inicjatywy Obywatelskiej /ZINO/ uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wyłoniono Radę Zespołów Inicjatywy Obywatelskiej ROPC10 w składzie: Krzysztof Gąsiorowski, Karol Głogowski, Zdzisław Jamrożek, Stanisław Januszewski, Andrzej Mazur, Leszek Moczulski, Andrzej Ostojca - Owsiany, Wiesław Farchimowicz, Adam Fleśnar, Marek M. Skuza, Stanisław Sudoł, Tadeusz Szczudłowski, Apolinary Wilk.

L. Moczulski rozpoczął redagowanie miesięcznika "Droga".

ZINO jako całość przetrwała niespełna rok bez dokonania, po czym najbardziej znacząca i najprężniejsza ich część - środowisko młodych, zgrupowanych wokół pisma "Bratniak", powołało 29 lipca 1979r. Ruch Młodej Polski "skupiający młode środowiska Gdańskie, Szczecińskie, Gorzowskie Wielkopolskie, Łódzkie, Warszawy, Poznania i Bydgoszczy". Był on "niezależnym ruchem ideowym, którego uczestnicy zgodzili się co do konieczności podejmowania działań na rzecz niepodległości Państwa Polskiego, umocnienia więzi narodowej Polaków, respektowania praw osoby ludzkiej, przestrzegania chrześcijańskich norm etycznych w życiu publicznym, zachowania tożsamości kultury narodowej. Uczestników RMP łączy przekonanie, że jednym z podstawowych warunków realizacji tych celów jest stworzenie nowoczesnej - ale i zakorzenionej w tradycji - myśli politycznej, odpowiadającej aspiracjom i godności Narodu Polskiego" /"Bratniak" nr 18/4 z 1979r./.

L. Moczulski powołał miesiąc później, 1 września, Konfederację Polski Niepodległej.

Ruch Wolnych Demokratów działał niezależnie, skoncentrowany głównie w Łodzi i we Wrocławiu.

Ruch Obrony powołał Radę Konsultacyjną, będącą organem doradczym i kontrolnym pisma "Opinia" w składzie: Benedykt Czuma, Józef M. Janowski, Stefan Kaczorowski, Marek Myszkiwicz - Niesiołowski, Andrzej Nastula, ks. Bohdan Papiernik, Marian Piłka, Zbigniew Siemiński, Leszek Skonka, Restytut W. Staniewicz, Bogumił Studziński, Kazimierz Świton, Piotr Typiak, Mieczysław Ustasiak, Andrzej Woźnicki.

Część działaczy R.O., nie mogąc pogodzić się z rozłamem, dąży do jednoci współpracy z obydwojma "skrzydłami".

W dniach 9-10.XII.1978r. odbyło się IV Ogólnokrajowe Spotkanie R.O. w Warszawie, przypięczętujące rozłam. /Równolegle w Warszawie odbyło się krajowe spotkanie ZINO i próby mediacji ze strony Tadeusza Szczerbowskiego i Arkadiusza Rybickiego nie dały żadnych pozytywnych rezultatów/. Uczestnicy Spotkania przyjęli zasadę, iż w Spotkaniu uprawnieni do głosowania są sygnatariusze Apelu z 25 marca 1977r. oraz przedstawiciele środowisk i głównych ośrodków aktywności Ruchu Obrony /prowadzący PK-I i KSD/ w liczbie 38 osób. Powołano Radę Sygnatariuszy składającą się z sygnatariuszy Apelu z 25.III.1977r., którzy nie wyłączyli się samymi z dalszej współpracy /tj.: gen. M. Borata - Spiechowicz, A. Czuma, K. Janusz, St. Kaczorowski, M. Myszkiwicz - Niesiołowski, ks. B. Papiernik, Zb. Siemiński, B. Studziński, P. Typiak, A. Wojciechowski, A. Woźnicki, W. Ziemiński/ oraz z 8 uczestników R.O. wybranych przez IV Spotkanie: Mariana Gołębińskiego /Warszawa/, Józefa M. Janowskiego /Zduńska Wola/, Antoniego Pietkiewicza /Kalisz/, Mariana Piłkę /Inblin/, Grzegorza Prątnickiego /Szczecin/, Janusza Rożka /Kolonia Górna/, Leszka Skonkę /Wrocław/, Kazimierza Świtonia /Katowice/. Rada Sygnatariuszy powołała 5-osobowy zespół wykonawczy, miała też zwoływać Ogólnokrajowe Spotkania R.O., inicjować prace w R.O., uchwalać preliminarz wydatków ze Społecznego Funduszu R.O.

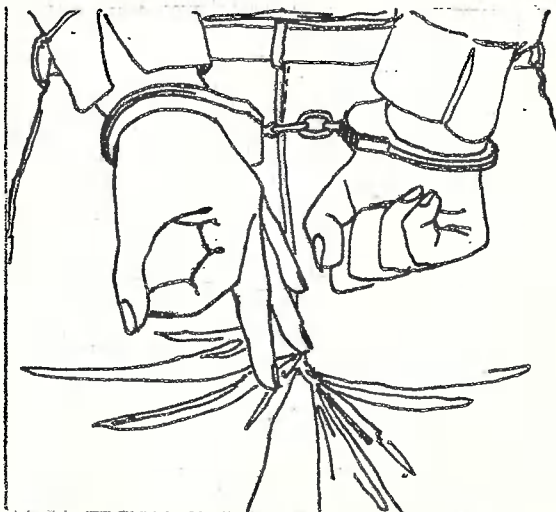
Później skład Rady Sygnatariuszy powiększył się o sześć osób: Jerzego Brykożyńskiego, Benedykta Czumę, Antoniego Gołę, Janusza Krzyżewskiego, Edwarda Staniewskiego i Jana Zapolnika.

Powołane zostało Biuro Pomocy Społecznej prowadzone przez Bogumiłką Studzińską.

Wydarzenia Sierpnia 80 i powstanie "Solidarności" de facto zakończyły działalność Ruchu Obrony, chociaż nigdy formalnie się to nie stało. Działacze R.O. w większości zaangażowali się w pracach Związku. Pismo "Opinia" ukazywało się jeszcze wiosną 1981r.

Powołanie R.O. przyjęte zostało negatywnie przez jedyne niezależne środowisko działające w tym czasie - Komitet Obrony Robotników. Padały m.in. zarzuty, że jest to dążenie do rozbitcia KOR-u, że podjęcie się obrony praw człowieka jest uzurpacją, że powołanie R.O. doprowadzi do osłabienia i rozbitcia opozycji. I wreszcie najcięższy zarzut - że R.O. powstał z inspiracji służby bezpieczeństwa - ze wskazaniem personalnym przede wszystkim na L. Moczulskiego. /Trafnie opisuje atmosferę tej nagonki Piotr Wierzbicki w książce "Myśli staroświeckiego Polaka"/. Opinie te przekazywane były i na Zachód. Przesilenie nastąpiło w czerwcu 1977r., gdy Halina Mikołajska, pod nieobecność aresztowanego Jacka Kuronia i innych działaczy KOR-u pełniąc funkcję rzeczniczki KOR-u, stwierdziła w wywiadzie, że R.O. jest podejmowaną inicjatywą. Wywołało to ostrą reakcję środowisk polonijnych zmieniając, przynajmniej zewnętrznie stosunek KOR-u do R.O. Ale KOR nigdy oskarżeń tych nie odwołał, H. Mikołajska również. Tym niemniej, niemal w każdym "Biuletynie Informacyjnym" wydawanym przez KOR można było znaleźć jakąś złośliwość pod adresem R.O., czego z kolei "Opinia" nie czyniła. Praktycznie nie udało się zorganizować współpracy obu cserodków, poza cząstkowymi działaniami w takich miastach jak Gdańsk, Wrocław i Poznań. Stąd ważnym wydarzeniem stało się ogłoszenie jednobrzmiącego oświadczenia wydanego odrębnie przez KOR i Ruch Obrony 26 lutego 1980r. w sprawie nasilenia represji w poprzedzających miesiącach. Do ściślejszej współpracy jednak nie doszło.

J.



Człowiek wart też...

- O CMENTARZACH ŻYDOWSKICH W BIAŁYMSTOKU

Pierwszy cmentarz żydowski w Białymstoku wytyczono przed 1580r. na tyłach południowej pierzei rynku. Służył on miejscowej ludności żydowskiej /osiadłej tu w XVI wieku/ aż do II połowy wieku XVIII. W roku 1772 był już nieczynny.

Rozrastająca się społeczność żydowska uzyskała w 1718r. od właścicieli dóbr białostockich zgodę na budowę synagogi, chociaż gmina żydowska w Białymstoku powstała prawdopodobnie dopiero około roku 1771.

W 1764r., naprzeciw istniejącej bożnicy wzniesiono nową - stojącą do końca XIX stulecia.

Tymczasem liczba ludności żydowskiej w mieście rosła osiągając w 1765r. 761 osób, a w końcu XIXw. - 1788 osób, podczas gdy całe miasto liczyło w tym czasie niecałe 4 tys. mieszkańców.

W 1766r. z inicjatywy bractwa pogrzebowego Hewrs Kadisz wytyczono cmentarz żydowski przy ulicy Sosnowej /dziś Kalinowskiego/, jednak z powodu gwałtownego wzrostu liczby mieszkańców Białegostoku /w tym ludności żydowskiej/ w wieku XIX dość szybko, bo już w 1840r. stało się konieczne wytyczenie nowego kirkutu. Zlokalizowano go przy obecnej ulicy Bema.

Dalszy wzrost liczby ludności żydowskiej, stanowiącej od końca XIXw. do roku 1914 prawie 80% mieszkańców miasta spowodował założenie około 1890r. kolejnego kirkutu w Bagnówce - obok wcześniej wytyczonego cmentarza katolickiego. Oba cmentarze oddzielała ulica Cmentarna /istniejąca do ok. 1949r./ i oba zostały ogrodzone ceglany murem. Na cmentarz żydowski prowadziły ceglane bramy od ulicy Cmentarnej i od południa /z ulicy Wschodniej/.

Od około 1890r. cmentarz ten zaczął obrastać w nagrobki. Chowano tu Żydów z Białegostoku i Supraśla. Niewykluczone też, że przeniesiono tu zwłoki z innych cmentarzy o czym świadczą by mogły daty zgonów figurujące na dwóch nagrobkach /z 1874 i 1876r./.. Obok bramy przy ulicy Wschodniej wzniesiono też dwa budynki - zapewne dom pogrzebowy i dom grabarza.

Lata 1905 - 1906 przyniosły zamieszki antyżydowskie i krwawe pogromy Żydów. W ich wyniku przybyło na cmentarzu nagrobków, a w centrum cmentarza wzniesiono w 1906r. ku czci ofiar obelisk z czarnego marmuru. Wryto na nim epitafium pióra poety hebrajskiego Zalmana Schnooura. W latach późniejszych miały tam też miejsce inne smutne uroczystości. Między innymi 29 sierpnia 1920r. odprawiono uroczysty pogrzeb Żydów za-

bitych w czasie okupacji Białegostoku przez wojska radzieckie, pochowanych na cmentarzu przy ulicy Sosnowej, w odnalezionych 25.VIII.1920r.

W okresie międzywojennym, według dwóch przeprowadzonych w tym czasie spisów powszechnych ludności - ludność deklarująca przynależność do narodowości żydowskiej stanowiła ponad 50% mieszkańców miasta, toteż na cmentarzu przy ulicy Wschodniej pochowano w latach 1920-1939 około 10600 osób wyznania mojżeszowego.

Cmentarz ten funkcjonował do 1941r., kiedy to, po zajęciu miasta przez Niemców zorganizowano getto, w którym założono osobny cmentarz przy ulicy Żabiej. Ten ostatni czynny był do likwidacji getta w roku 1943, po czym ponownie uruchomiono kirkut przy ulicy Wschodniej.

Mimo likwidacji Gminy Żydowskiej w 1943r. cmentarz na ulicy Wschodniej przetrwał wojnę bez większych zniszczeń. Został jednak pozbawiony opieki i z wolna ulegał dewastacji. Dopiero w 1966r. został przejęty przez Skarb Państwa, a pozostawał czynny do roku 1969, w którym dokonano ostatniego pochówku.

Podzielony był na 76 kwater, w których umieszczano poszczególne groby. Z danych statystycznych wynika, że liczba pochówków w latach 1890-1941 wynosiła średnio do 500 rocznie, jednak do 1984r. zachowało się tylko 600 nagrobków /w tym większość z inskrypcjami/.

Przyczyniło się do tego niewątpliwie drastyczne zniszczenie nieużytkowanego obiektu w okresie powojennym. Rozkradzione zostały nagrobki z marmuru i granitowe stałe, poprzewracano i potłuczono część macew, a reszta porasta mchem i ulega erozji. Zniszczono także wiele tablic inskrypcyjnych oraz pozbawiono drzwi i okien obel stojący na cmentarzu, wzniesiony w 1922r. Chaimowi Hertz Halpnerowi z fundacji białostockich Żydów zamieszkałych w Nowym Jorku. Rozebrano ogrodzenie, z którego przetrwała tylko część bramy przy ulicy Wschodniej i fragment muru. Ocalała część pomnika ofiar pogromów 1905 i 1906r. przeniesiono na cmentarz komunalny. Część terenu cmentarza żydowskiego przeznaczono pod zabudowę jednorodziną toteż wschodnie kwatery uległy całkowitemu zniszczeniu. Między domami pozostałe tam tylko wzniesienie pozostałe z nagrobków przeniesionych ze starych cmentarzy żydowskich. Zresztą część macew zużyto prawdopodobnie do budowy fundamentów okolicznych domów.

Tak więc cmentarz stanowiący dziś jedyne materialne świadectwo istnienia dużej Gminy Żydowskiej w Białymstoku nadal ulega dewastacji. Opuszczony i nikomu niepotrzebny porasta zarostami i zagałkami. Niewiele pomógł mu pozostawiony bezodzewu apel Wojewódzkiej Rady Narodowej wystosowany w 1970r. do Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego w Warszawie zawierający propozycję przejęcia opieki nad cmentarzem przez ten Związek. Niewiele też pomagają ciągnące się latami prace nad ewidencją zachowanych nagrobków i ich milczących przekazów.

"Człowiek wart bez,
Mówić będą między sobą, gdzież jest matka nasza,
W cieniu będziemy żyć, któż wyciągnie ku nam dłońie,
Na pustkowie wywiodła nas matka miłosierdzia,
Pamięci o niej nie będzie aż do powstania jej do życia"
/z inskrypcji hebrajskiej na nagrobku
Ester Rozenthal, 1874r./

OPOWIADANKI

Adam Dolistowski

Wstęp do historii świata (4)

Pułkownik Kwantuński przestał wierzyć w sens zrozumiałego przeklinania i jeśli pragnął o czymkolwiek nas poinformować, wyrzucał z siebie serie nieartykułowanych dźwięków. O ile wypowiedź uważał za niezwykle istotną wzmacniał ją ekspresyjnym wymachem ręki, ale nie trwało to długo, wkrótce zrezygnował z wszelkich zbytecznych gestów. Jego wyłączenie się z artykulacji musieliśmy przyszywać bardzo mocno, ponieważ ostatnie słowa jakie wypowiedział brzmiały: "Wszyscy decydują, ja rozkazuję". Stopniowo wpadaliśmy w stan permanentnego nasłuchiwania - a nuż jakieś kolejne słowo okaże się rozkazem, który wyjaśni istotę naszego bytu ?

Major Szpak jak zły duch człapał krok w krok za pułkownikiem. "Jedynym wyjściem jest sąd wojenny" - powtarzał wskazując na mnie i nie potrafił ukryć pełnej obrzydzenia pogardy.

Nie byłem jeszcze na tyle silny, by w marszu dotrzymać kroku naszej kompanii. Juraszko zarzucał mnie sobie na plecy, odsypiałem wszystkie pozabawione spoczynku dni i z każdą chwilą coraz bardziej zaczynałem wierzyć w siebie.

Pułkownik wskazywał kierunek marszu. Nie znaliśmy okolicy, nie posiadaliśmy map, nie znaliśmy celu naszej wędrowki. Wiernie podążaliśmy za pułkownikiem Kwantuńskim, wierzyliśmy, że on świadomy tego, co się stało, prowadzi nas ku czemuś lepszemu.

Ja stałem się normalnym człowiekiem. Niczego nie rozumiałem, ale o wszystkim zapomniałem. Tylko major Szpak starał się o przetrwanie mojego sumienia, początkowo z pełną fantazją intelektualnością udowadniając moją personalistyczną nicłość, potem nalegając na przeprowadzenie sądu wojennego. Z opresji ratował mnie pułkownik Kwantuński, wówczas jeszcze komunikatywny i pełen energii. Rozkazał mianowicie majorowi Szpakowi być agentem przeciwnika i przekazywać mu z gruntu fałszywe informacje. Major Szpak miał do rozwiązania szereg trudnych problemów, z którymi nie był w stanie sobie poradzić i które mnie uwolniły od jego ciągłej inwigilacji mojej osoby. Głównie w pierwszych dniach major Szpak obmyślał wiarygodne sposoby przesyłania informacji przeciwnikowi. I jeszcze, tego problemu nie rozwiązawszy, już miał do czynienia z następnym. Kompania uch-

waliła, że skoro major Szpak jest agentem obcych sił, powinien przejść na ich aprowizację. Pułkownik Kwantuński zgodził się z taką opinią, lecz poprosił o humanitarną postawę wobec majora Szpaka. Humanitaryzm miał być generalnie wiaćciwą nam, przyrodzoną cechą.

Maszerowaliśmy ciągle górzystymi ścieżkami, ustawicznie pod górę. Mieliliśmy jakieś nieokreślone przeświadczenie, że celem naszej wędrowki powinien być szczyt. Obserwując pozbawionego jakichkolwiek wątpliwości pułkownika Kwantuńskiego, nikt, choćby przez chwilę, nie zwątpił w dowódcę. Nie wiem, po co pułkownik przedsięwziął takie działania, tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Z mojego punktu widzenia pułkownik Kwantuński chyba po prostu uratował mi życie. Też nie wiem, po co wspinaliśmy się pod górę. Może jakiś sens w takiej ekspedycji dojrzał pułkownik wtedy, gdy rozpaczkał nad losem Lwa Zdzisławowicza?

- Czy ty byłeś tego wart? - pakał patrząc na mnie z wyrzutem.
- Jakiś rewolucjonista. Czy ty byś tyle wytrzymał? - pytał będąc przekonany o absolutnej lichoci mojej osoby. - Przestrzeliłem mu stopy, przestrzeliłem dionie, a on nic. Twardy.

Siedzący obok major Szpak twierdząco kiwając głową potwierdził dzielność Lwa Zdzisławowicza.

- Dopiero, gdyby nie ten...

Pułkownik już nie miał sił, żeby wyrazić podkreślić swą niechęć do Szpaka. Zrezygnowany ledwie go wskazał głową.

- Jak ten mu wsadził palec w oko, to się zakamatał.

Major Szpak poczuł się obrażony.

- Obiecaliśmy przecież, że wydestanujemy tego gnojka. Jak to by wyglądało, żebyśmy wrócili bez niego. Gdzie honor?

Pułkownik Kwantuński patrzył w niebo.

- Jakże on pięknie cierpiął. Odstrzeliwane paznokcie, a na obliczu twardość i pogarda dla bólu. Stawał się na moich oczach jednym, wielkim żarliwym duchem.

Lew Zdzisławowicz zakamatał się i wreszcie zaraadził numer kodowy wejścia do tego bunkra. Później Daszkiewicz opowiadał, że w żaden sposób nie mogli z zewnątrz dostać się do środka. Obiekt był całkowicie hermetyczny, samowystarczalny, przystosowany do trwania wiecznego. Kwantuński i Szpak, skoro już znaleźli się wewnątrz, byli całkowicie zależni od wo- i Lwa Zdzisławowicza. Pułkownik Kwantuński, mając polityczne poparcie majora Szpaka, opanował bunkier i unieszkodliwił jego załogę. Kiedy wyciągali mnie z białej separatu pragnąłem, żebyśmy zabrali z sobą zamaskowaną dziewczynę w biele. Zaśmiali się szyderczo i pokazali mi skuloną postać w kałuży krwi pod ścianą. Spod kitla wystawały wojskowe buty i spodnie, a pozbawiona białej osłony głowa była po prostu głową delikatnego, młodego żołnierzyka.

- Czy ty byłeś tego wart? - pytał mnie po raz kolejny pułkownik Kwantuński.

- Są wojenny - zacierał dionie major Szpak.

- Przecież mógł być razem z nami. Dlaczego nie on...? Ja Lwa Zdzisławowicza rozumiałem, ale czy ja was rozumiem? - spojrzał automatycznie na majora Szpaka.

Od chwili opuszczenia bunkra pułkownik Kwantuński nasycił się poprzednio u niego niespotykanym przeświadczeniem postannictwa. Wspominał Lwa Zdzisławowicza, bo czuł, że wraz ze śmiercią tamtego zyskał je-

go właściwości. Daszkiewicz niezbyt dokładnie opowiedział, w jaki sposób znalazłem się w tantym bunkrze. To podobno była popisowa akcja Lwa Zdzisławowicza. Pułkownik Kwantuński, według Daszkiewicza, gdy dowiedział się, jak mnie wyłuskano w tym dużym, czeskim mieście, w działaniach tych natychmiast rozpoznał geniusz swojego przyjaciela. Lew Zdzisławowicz po prostu stanął w rynku tego miasta i patrzył. Stał jeden dzień, stał drugi dzień. Trzeciego dnia przeszedł obok niego mężczyzna w średnim wieku. Lew Zdzisławowicz uśmiechnął się do niego przyjaźnie, a stojącym w pobliżu swym współpracownikom, wskazując tego mężczyznę rozkazał:

- Natychmiast przesłuchać.

Mężczyzna mówił tylko po czesku. Bez chwili Zastanowienia począł przekonywać Lwa Zdzisławowicza, że nie są potrzebne żadne przesłuchania. W ten sposób Lew Zdzisławowicz mnie znalazł. Podobno przebywałem w luksusowych warunkach - oczyszczona rana i czysta pościel. Kiedy wciążali mnie postrzelonego do bramy, myśleli, że jestem ich. Potem generalnie bali się. Bali się mnie wydać ruskim i bali się mnie zabić. Bali się cokolwiek zaniedbać w leczeniu, dlatego troskliwiej się mną opiekowano niż w szpitalu. W końcu bali się mojego powrotu do zdrowia i bali się mojej śmierci. W każdej postaci stałem się tragedią dla nieszczęśliwych Czechów. Stan, w którym trwałem, nie odzyskując świadomości, sprawiał ulgę moim opiekunom, ponieważ pewnie i mnie zaczęli się bać, jako sprawcy jednego wielkiego strachu. Kurowałyby się przypuszczalnie długo, gdyby Zdzisławowicz mnie stamtąd nie wygarnął.

- Zaufał mi. Był moim przyjacielem - wspominał Lwa Zdzisławowicza Kwantuński. - Nie mogłeś mu zostawić chociaż jednego oka? - zaatakował majora Szpaka.

- Był zbyt dzielny - poważnie Zareplikował Szpak.

- Przecież człowiek nie zasługuje na gorszy los niż zwierzę - stwierdził pułkownik. - Zwierzę się dobija, żeby nie cierpiało. Czy można było zostawić tak wielką duszę w tak marnym ciele? Zabiłem mojego przyjaciela. Przynajmniej jestem spokojny, że już nie cierpi...

- Nie ma świadków - zachichotał Pawlik.

- Właśnie - podchwycił major Szpak. - Zachowując rewolucyjny żar powinniśmy wrócić na łono postępu. Nie ma świadków...

2.

Kapral Wachnik i szeregowy Krupa dołączyli do naszego oddziału w chwili, gdy obradujące konsylium wybrało już najlepsze sposoby dostarczenia przeciwnikowi fałszywych informacji.

- Przyszali was - powitał ich major Szpak.

- Przyszali - potwierdzili.

- Nie ma problemu - zbagatelizował. - Zaraz rozstrzelamy.

Nie zrobiło to na nich specjalnego wrażenia. Maszerowali razem z nami i przysłuchwali się kłótniom na temat, które informacje należy uznać za prawdziwe, a które za fałszywe i które dostarczyć wrogom.

- Nic to wam nie da - skomentował kapral Wachnik. - Właśnie rozważają, czy was wziąć za Niemca zachodniego, czy miejscowego kontrrewolucjonistę.

- Tak? - zainteresował się Szpak. - Nas nie pytając o poglądy?

- Jak postanowią, że jesteście Niemcy, to zbombardują, jak uzna-

ją was za miejscowych, to wezmą gazem.

- Mnie? - oburzył się major. - To ja już nie zasługuję na rozstrzelanie?

Major Szpak baczniej przyjrzał się nowo przybyłym.

- Słuchajcie no - polecił. - Idźcie trochę do przodu. Na najbliższym pestoju przygotujcie się, będziemy was badać.

- Co wiem, to mówię - obraził się szeregowy Krupa. - Proszę mi nie ubliżać jakimiś badaniami.

- Na pewno mówicie? - wątpił major.

- Kaprał powiedział, że idą na was, to idą. Nam się kazali zbratać, to się bratamy. Kazali podzielić i robić niesnaski, żebyście się sami pozabijali.

- No i co? Będziecie robić? - dociekał kapitan.

- Jak kazali, to będziemy - potwierdził Krupa.

- Kapralu - Szpak rozkazując przywołał Daszkiewicza. Ich naprawdę trzeba zachęcić do mówienia.

- Przecież wszystko mówię - ponownie obraził się szeregowy Krupa.

Major Szpak z dezaprobatą kręcił głową. Szeregowy Krupa nie był w stanie sprawić mu informacyjnej satysfakcji.

- Czegoś mi tu brakuje w waszej wypowiedzi, szeregowy - zastanawiał się major. Brakuje mi, jak by tu rzec, pewnej dogłębności.

- Właśnie, chcielibyśmy się przespać - ziewnął kaprał Wachnik.

Major Szpak w jednej chwili wyprostował się, sprężyście wskazał ręką skalistą drogę.

- Nigdy - wrzasnął. - Przesłuchanie, wyrok i ... my w drogę.

Jakaś myśl gwałtownie pozbawiła go energii. Odstąpił, idąc wolniej od nas nad czymś rozmyślał.

- Kapralu - Zwrócił się do Wachnika dogoniwszy go. - Wy byliście zawsze zbyt dobrze poinformowani.

- Jak zaświecą trzy rakiety od zachodu, to wtedy będą zaczynali was kończyć - konfidencjonalnie szepnął Wachnik.

- Wy mi tu chcecie czymś zamydlić oczy - złośliwie uśmiechnął się Szpak. - Nic z tego, przejrzałem was.

- Trzy czerwone - uzupełnił kaprał.

- Niech sobie będą - zgodził się major. - Wiem po co przyszliście kapralu do nas. Wy chcecie odebrać mi przywilej informowania o naszej kompanii. Ale to tylko ja wiem wszystko, ja znam prawdę. Wasze kłamstwo nigdy nie wyprze mojej prawdy...

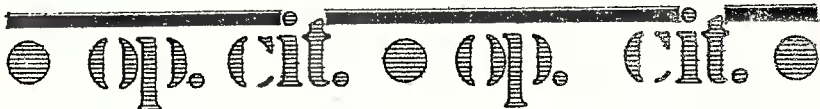
Ścieżka gubiła się w skałach. Wolno, jeden za drugim wychodziliśmy na skalną grań. O sobie też mogę powiedzieć, że wychodziłem. Chociaż wyniósł mnie na plecach Juraszko, wszystko widziałem i prawie nic nie umknęło mojej uwadze.

Odzisek na horyzoncie rozbłysły trzy rakiety, nasza ścieżka się skończyła, staliśmy nad przepaścią mając nad sobą pozbawione chmur niebo. Chyba nikt z nas nie wierzył w ocalenie.

Tylko pułkownik Kwantuński ufnie patrzył w dal.

C.D.N.

Druk bez wiedzy i zgody autora.



Jan Lityński

Szansy na wyjście z pała

Tygodnik Mazowsze
nr 251 18 V 1988

1. Strajki nie zakończyły się spektakularnym sukcesem. Stworzyły natomiast szansę przełamania pała, w którym kraj pozostaje od wielu lat. Dlatego o porażce nie może być mowy. Niewątpliwie będą o niej mówić ci, którzy pieczętówkami przechowywali pewien mit - przekonanie o dychotomicznym podziale na władzę i społeczeństwo.

Traktowane niemalże jak jeden organizm społeczeństwo miało zgodnie z tym mitem ruszyć na dany sygnał. I nie ruszyło w maju 1988r., podobnie jak nie ruszyło 7 lat temu w grudniu 1981. Już wówczas strajki, aczkolwiek było ich znacznie więcej, miały wyraźnie mniejszościowy charakter. Wtedy w Ursusie w momencie wkroczenia ZOMO zostało około 400 osób, liczba porównywalna z obecnym strajkiem. Można się oczywiście zastanawiać, czy nie byłoby korzystniej, gdyby strajk w Ursusie trwał dłużej, lecz jest to rozważanie o naszych technicznych czy organizacyjnych słabościach /które oczywiście rozważać należy/, a nie o istocie sytuacji w Polsce.

2. W sierpniu 80 hasło "wolne związki zawodowe" było zarówno żądaniem wobec władzy, jak i zadaniem dla ruchu społecznego. Obecnie żądanie legalizacji "Solidarności" - choć oczywiste - już nie wystarcza. Mamy za sobą doświadczenia 1981r., kiedy odpowiedzią władzy na "Solidarności" był swoisty strajk rządu, paraliż całego mechanizmu państwowego. Pamięć społeczna związana z widmem pustych półek jest obezwładniająca. Toteż powszechna jest świadomość, że legalizacja "S" musi iść w parze z głębokimi przeobrażeniami, zabezpieczającymi przed samowolą rządu. Natomiast "reforma" stała się podstawowym słowem nowo-mowy, kojarzącym się tylko z podwyżkami cen. W tej sytuacji żądanie reform brzmi niemal abstrakcyjnie, stając się zaklęciem, pobożnym życzeniem i prośbą do władzy by wreszcie się zmieniła.

Reakcja władz na strajki jest chyba wystarczającym doświadczeniem, kolejnym dowodem, że ta ekipa zmieniać się nie chce i nie może. Jej myślenie obraca się ciągle w kategoriach stanu wojennego. Nie jest zdolna zrozumieć, że podstawowym zadaniem rządu w Polsce nie może być walka z "Solidarnością" lecz odpowiedź na realne zagrożenia, przed jakimi stoi cały kraj. Jest to groźny przypadek politycznej ślepoty. Co więcej, w dobie przemian w całym bloku jest to anachronizm.

Wojska sowieckie wycofują się z Afganistanu, Kubańczycy zaczynają mówić o opuszczeniu Angoli. I tam, a także w Nikaragui, komunistki przystępują do rozmów z tymi, których do niedawna nazywali "kontrrewolucyjnymi ban-

dytami". Oczywiście można powiedzieć, że są to obrzeża imperium, dla którego trwałości Polska jest ważniejsza niż Angola, lecz z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, by czołgi sowieckie ruszyły bronić nieudolnego rządu w Polsce.

Ów zewnętrzny fundament socjalizmu, o którym wspominał Urban, może okazać się niewystarczająco mocny, przynajmniej dla obecnej ekipy. Jeżeli uduślo się zapełnić dotkliwą pustką po Bierucie, Gomułce, Gierku, to chyba odejście obecnego pierwszego sekretarza też nie będzie wielkim ciosem dla towarzyszy radzieckich.

3. Jeszcze kilka miesięcy temu myślenie, że władza dąży do pewnych zmian, wydawało się racjonalne. Sens oświadczenia RKW z grudnia 1987r., które wzbudziło tyle dyskusji, polegał na twierdzeniu, że aby zmiany te miały autentyczny i głęboki charakter, należy nie tylko czynnie włączyć się w różnego typu inicjatywy lecz samemu je wyzwalać i organizować wokół nich ruch społeczny.

Przeceniliśmy tu zamiary władz. Zapowiedź reform była manewrem mającym na celu właśnie uniknięcie zmian. Zamiast reformy gospodarczej - podwyżki cen, zamiast demokratycznej ordynacji - mianowanie kandydatów, zamiast samorządu terytorialnego - wszechwładza administracji, zamiast swobody zrzeszeń - stopowanie wszelkich niezależnych inicjatyw gospodarczych, stowarzyszeń i fundacji. Uprawnienia nadzwyczajne dla rządu to przykład wiary aparatu, że gospodarka może być sterowana ogólnie. Enuncjacje Jaruzelskiego, Rakowskiego i Messnera ukazują dokładnie to myślenie. Ze słowami o reformie, rynku, pluralizmie kryje się obawa, aby cokolwiek nie wymknęło się z rąk, żeby życie nie okazało się silniejsze od ideologicznych zakłęb. Dla Rakowskiego pluralizm to wyprowadzenie biskupa do wojewódzkiej rady narodowej a proboszcza do gminnej. Cała ta retoryka, owe "wewnątrzsocjalistyczne pluralizmy" to kwiatek do kożucha, który przypina sobie władza w uznaniu swych zasług. Lecz losy oświadczenia RKW wskazują na zjawisko znacznie poważniejsze niż banalny w końcu opór władzy - na odmowę aktywności społecznej w instytucjach w jakikolwiek sposób powiązanych z państwowym aparatem.

Aktywność nawet wokół problemów lokalnych, spraw samorządu terytorialnego jest znikoma. Nie wynika to tylko z myślenia kategoriami walki, operowania sloganami "wszystko albo nic". Najbardziej nawet zaangażowani działacze uważają, że ich poczynania na rzecz oświatowej poprawy sytuacji mają małe szanse powodzenia. I tak wszystko zniszczy, zdławi, zmieni aparat władzy, administracja i grupy z nią związane. Odmowa udziału wydaje się być jedynym wyjściem, co przy jednoczesnym braku sensownych propozycji ze strony władz, skazuje cały system rządzenia na nieuchronną tymczasowość. Im szybciej ulegnie on rozbiciu, tym większe będą szanse powstrzymania degrengolady, w jaką popada kraj.

4. Wszyscy cierpimy na brak odpowiedzialności. Odpowiedzialnością staje się bowiem nie działanie, lecz powstrzymanie się od działania. Dlatego tak dużo jest dziś w Polsce interpretatorów, doradców, mediatorów. Fokutuje tu niemal 45 lat życia w kraju, gdzie nikt nie podejmował żadnych istotnych decyzji. Ani sterowana z zewnątrz władza, ani zniewolone społeczeństwo. Nie przypadkowo właśnie teraz, w obliczu strajków czyży teorie o prowokacji. Twórcy koncepcji prowokacji, opisując jej mechanizm mają poczucie odkrywania rzeczywistości, znajomości metod sprawowania władzy, ukazywania jej śrubek i trybików. Obserwują życie społeczne niczym partię szachów. We wszystkich takich teoriach jest element magiczny. Władza, niezdołna do pojęcia rozsądnej decyzji gospodarczej.

jest zarazem w stanie doskonale sterować ludźmi, precyzyjnie zaplanować wydarzenia i zachowania milionów. Jest to myślenie absurdalne, wyraz zagubienia i bezsilny. Lecz jest to zarazem myślenie niebezpieczne, bo paraliżujące wszelką społeczną inicjatywę i odpowiedzialność.

5. A właśnie odpowiedzialność jest dziś w Polsce potrzebna. Lecz musi to być odpowiedzialność w działaniu, odpowiedzialność w podejmowaniu ryzyka. Zasygnalizowana w ostatnich strajkach słabość "Solidarności" nie jest słabością idei i wartości. Wynika ona z wieloletnich przyzwyczajęń, kurczowego trzymania się przestarzałych struktur, obawy przed przegraną. Nieprzypadkowo motorem strajków byli ludzie młodzi - robotnicy i studenci, dla których ważne są idee "Solidarności". Lecz odrzucając cały balast, jakim dla starszych jest pamięć o 13 grudnia 1981. Filozofia "Solidarności" - rozwiązywanie konfliktów w drodze dialogu i porozumień - jest jednym z elementów łączących oba pokolenia. Jednak postępujący rozkład i brsk perspektyw mogą spowodować, że nie ta filozofia będzie dominować w społecznym myśleniu.

6. Nie wiemy, jaki będzie rozwój sytuacji. Można zasadnie przypuszczać, że obecne strajki są jedynie preludeum do przyszłych wydarzeń. Dlatego trzeba dążyć, by owe wydarzenia mogły znaleźć dla siebie szerszą perspektywę. Już dziś powinny powstawać programy nowego systemu gospodarczego na szczeblu całego kraju, jak i poszczególnych zakładów. Winny się rodzić programy lokalne koniecznych inwestycji ochrony środowiska. Potrzebni są ludzie zdolni do rządzenia i zyskania społecznego poparcia, którzy podejmą inicjatywę gospodarczą, potrafią modernizować przestarzałe fabryki, organizować, działać, ryzykować. Potrzebny jest też kompromis. Lecz nie może to być kompromis ze zdrowym rozsądkiem. A taki jest właśnie kompromis, jaki może zaproponować władza. Fakt, że dziś pozwalają nam dużo mówić, że rzadko wsadzają łą więzienia i dość szybko wypuszczają - to obecnie za mało.

Kompromis musi polegać na określeniu sposobu naszego udziału w Pakcie Warszawskim i RWFG, zakresie suwerenności polskiego rządu. Musi też polegać na negocjacji spłaty polskiego długu i warunków przyznania Polsce pomocy kredytowej i technologicznej,

7. W tym miejscu rodzi się problem opozycji. Wybory, wolność słowa, wolność gospodarcza, programy partii politycznych, swobody związkowe - tworzą w systemach demokratycznych układ zarazem stabilny, jak i podatny na usprawniające go zmiany. Takiego układu nie ma w Polsce. Nie ma też w Polsce opozycji, rozumianej jako potencjalne gabinety rządowe. Nie ma grup ludzi, którzy stwierdzają "my chcemy wziąć odpowiedzialność za sytuację w tym kraju, mamy taki oto program polityczny, gospodarczy, społeczny, i chcemy go takimi oto metodami wprowadzić w życie".

W oczywistej opozycji w stosunku do praktyk władz są dzisiaj nie tylko działacze "Solidarności", nie tylko ci, którzy wydają podziemną prasę, ale również ci, którzy przyzwyczaili się z władzą współpracować, popierać ją, tłumaczyć jej posunięcia, a także ci, którzy dotychczas milczeli. Oni to piszą w oficjalnych pismach, że należy dać sobie spokój z marksizmem, opisują różne idiotyzmy, nonsensy i wariactwa, będące istotą tego systemu. To można dzisiaj znaleźć w każdym niemal piśmie - poza "Trybuną Ludu" i "Żołnierzem Wolności".

Lecz cała ta opozycyjna atmosfera nie rodzi dziś zmiany. Są naukowcy, specjaliści od gospodarki, od polityki, są stowarzyszenia eko-

nomistów, techników, socjologów, prawników. Lecz nie ma samodzielnych polityków, a więc nie ma alternatywy. Dlatego strajki nie mogły mieć żadnego napędu, bowiem strajkujący mogli jedynie żądać od tej ekipy, mając w dodatku świadomość, że spełnienie ich żądań przekracza możliwości obecnej władzy.

Czy można od lwa żądać by nie jadł mięsa, od psa by nie szczekał, od kreta by przestał ryć ?

Wpłaty

Dziękujemy za wpłaty Adelaide 36 US \$

007